

● PAKT RIBBENTROP-MOŁOTOW ● LUDOWCY PRAWDZIWI I FAŁSZYWI ● DZIENNIK Z WOJNY 1920 ● ROZPUSZCZENI URZĘDNIICY ● SAMOTNE DZIECI ● ŚWIAT NAPRAWDĘ ŻYDOWSKI ● BIERUT PUŁKOWNIKIEM NKWD? ● CZY BOIMY SIĘ INTELIGENCJI? ●

TYGODNIK  
WSCHODNI

PL ISSN 0000-8880

# relacje

LUBLIN, 24-30 VIII 1989 R.

NR 32

CENA 120 ZŁ

„Świat mam teraz w kieszeni!”  
- wykrzyknął Hitler na tę wiadomość

## RIBBENTROP W MOSKWIE

Mieczysław Wieliczko

**M**OŻE się to wydać nieprawdopodobne, ale wystarczy palców u rąk, by policzyć ministrów spraw zagranicznych, którzy w okresie między wojnami odwiedzili Moskwę. Pośród nich Joachim von Ribbentrop, od lutego 1938 r. minister spraw zagranicznych Niemiec zajmuje wyjątkowe miejsce, był bowiem w Moskwie dwukrotnie: 22—23 sierpnia i 27—29 września 1939 r., łącznie przez 74 godziny.

Podpisał w tym czasie dwa układy i dwa tajne protokoły, z których każdy liczył po 4 punkty oraz „oświadczenie przyjacielskie” (Friedenserklärung). To nie jest może wiele, a jakie konsekwencje?!

**D**ZIS, w 50 lat od tych wydarzeń — wizyty Ribbentropa w Moskwie wzbudzają emocje, kontrowersje polityczne i dyskusje parlamentarne. Nie ma bowiem jeszcze pełnej wiedzy o wielu szczegółach podjętych wtedy decyzji, a w ich objaśnianiu trafiają się manipulacje i kłamstwa, że o półprawdach zamilczę. Podać przykłady? Będą później. Wpierw jednak kilka zdań o Ribbentropie — diable wcielonym, według Himmlera...

Był tylko cztery lata młodszy od Hitlera i podobnie jak on nie zrobił kariery wojskowej w czasie I wojny. Po jej zakończeniu wrócił do ulubionego zajęcia — handlu winem, co przez małżeństwo z córką bogatego kupca, handlującego szampanem, wprowadziło Ribbentropa w kręgi niemieckiej finansjery, zaś nowe możliwości dosłownie otwarły przed nim Europę, którą przemierzał w poszukiwaniu korzystnych transakcji. Chorobliwie ambitny, zdolny i przedsiębiorczy, wyrobił sobie nieprzeciętną pozycję już w dwa lata od wstąpienia do partii hitlerowskiej.

Wkrótce był już kierownikiem (Reichsleiter) do spraw polityki zagranicznej NSDAP, a słynne „Biuro Ribbentropa” otwarto przy Wilhelmstrasse naprzeciw ministerstwa spraw zagranicznych. Odtąd jego celem stało się przejście na drugą stronę ulicy, do gmachu MSZ Rzeszy. Z nieopisaną energią ożywiał niemiecką politykę zagraniczną Rzeszy i wpał jej hitlerowską ideologię, indoktrynował, tworzył kadry. Na tym polu trafił na nie mniej ambitnych i „pracowitych” ludzi z kręgu Heydricha i Himmlera,

którzy tworzyli zagraniczne agendy SS i SD. W tym ostatnim zakresie zaczął się wybijać i rywalizować z Ribbentropem o wpływy poza Rzeszą i łaski Führera Walter Schellenberg. Szczerze się nienawidził, ale to dawało znakomite „wyniki służbowe”. Zagraniczne kadry Sicherheitspolizei i Sicherheitsdienst kierowane przez Schellenberga, obok kadr NSDAP sterowanych przez Ribbentropa, nie tylko stanowiły trzon V kolumny w podbojach Rzeszy, ale były siłą rozwijającą jej wpływy polityczne i gospodarcze.

Ribbentrop zaczął uprawiać dyplomację na swoje konto z pominięciem służby zagranicznej Rzeszy i wykonywał wszelkie delikatne misje zlecane przez Hitlera. Tak było ze słynnym układem morskim z Wielką Brytanią, zawartym z początkiem czerwca 1935 roku, kiedy „ambasador NSDAP”, bo taki miał tytuł służbowy, wrócił z Londynu z traktatem pozwalającym Niemcom na budowę floty do wielkości 35 procent tonażu floty brytyjskiej (okrętów nawodnych) i do 100 procent okrętów podwodnych Brytyjskiej Wspólnoty Narodów! Powstała potężna „Kriegsmarine” i Anglicy dopuścili do tego, zawierając układ z niemieckim handlarzem wina...

Wkrótce Ribbentrop został ambasadorem w Londynie, co wcale nie przeszkadzało mu uczestniczyć w pracach wydziału zagranicznego NSDAP i przygotowywać Pakt Antykominternowski. Ideologiczny cel tego paktu

(Dokończenie na str. 12—13)



Fot. Erwin Schenkelbach

## ŚWIAT, KTÓRY KIEDYŚ BYŁ OBOK NAS...

str. 9

# relacje

## ZE ŚWIATA

● Rzecznik radzieckiego MSZ Jurij Griemickich oświadczył na konferencji prasowej w Moskwie, że Związek Radziecki nie zamierza w najmniejszym stopniu ingerować w wewnętrzne sprawy Polski. Zaznaczył równocześnie, iż ZSRR jest żywnie zainteresowany rozwojem sytuacji w Polsce, jako kraju sąsiadującym i związanym sojuszem militarnym z państwem radzieckim. Nawiązując do stwierdzenia Lecha Wałęsy, iż niektóre resorty powinny pozostać w rękach PZPR, Griemickich określił tę konstatację jako bardzo rozsądną.

● Kilkusobowa grupa turystów z NRD, korzystając z rozluźnienia kontroli granicznej między Węgrami a Austrią, przekroczyła nielegalnie granicę z nadzieją uzyskania azylu w Austrii.

● W zachodniemieckich placówkach dyplomatycznych nadal przebywa ok. 300 obywateli NRD, którzy chcą znaleźć się na Zachodzie (m.in. w Berlinie — 116 osób, w Budapeszcie — 171, w Pradze — 40, w Warszawie — 1).

● Poziom życia w NRD uchodzi za najwyższy w krajach RWPG.

● Parlament czeskosłowacki zdecydowanie zaprotestował przeciwko uchwałom polskiego Sejmu i Senatu, wyrażającym dezaprobatę wobec interwencji wojskowej Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w sierpniu 1968 roku. Interwencja ta położyła kres demokratycznym przemianom w CSRS. Uchwałę potępiającą wkroczenie wojsk sojuszniczych podjął również parlament węgierski. Władze czeskosłowackie uznały stanowiska obu par-

lamentów za mieszanie się w wewnętrzne sprawy suwerennej republiki.

● Norwegia podjęła inicjatywę utworzenia funduszu dla krajów, które zmieniają ustrój totalitarny na demokrację ludową. Jak wiadomo, przejścia od demokracji ludowej do budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego dokonaliśmy już w latach siedemdziesiątych.

● Prezydent USA George Bush oświadczył, że pragnie poprawy stosunków z Kubą, ale nie dojdzie do niej, dopóki Fidel Castro gwałcić będzie prawa człowieka.

● W Japonii zmarł w wieku 84 lat Minoru Genda, dowódca eskadr lotnictwa wojskowego Japonii, które w grudniu 1941 roku dokonały słynnego, niszczycielskiego nalotu na Pearl Harbour.

● Chiński dziennik „Renmin Ribao” stwierdził, iż wszelka sztuka — w myśl „socjalistycznej recepty” — winna służyć ludowi.

● Japońscy dyplomaci i biznesmeni przebywający w Pekinie czują się zagrożeni. Do biur japońskich linii lotniczych, konsulatów i niektórych przedsiębiorstw napływają listy od tajemniczej organizacji „Szwadron ludzi o czerwonej krwi wążących się na śmierć”. Organizacja grozi zabijaniem co miesiąc dwóch Japończyków, jeśli Japonia nie powstrzyma swej „inwazji gospodarczej” na Chiny i nie przestanie kolaborować z komunistycznymi władzami.

● W węgierskiej telewizji uruchomiono niezależny program informacyjny „NAP-TV”, finansowany w całości przez organizację spółdzielczą. Dwukrotnie w tygodniu po dwie godziny przekazywane będą informacje niezależne politycznie.

● Węgierski tygodnik „Reform” opublikował zestaw metafor, jakimi o-

kreśla się w Rumunii osobowość Nicolae Ceausescu. Oto niektóre z nich:

- słodki pocałunek ojczyzny
- mężczyzna jak jodła, czysty jak światło
- bijące źródło żywej wody
- on jest miodem w naszych słowach
- tytan wybrany spośród tytanów
- latarnia morska
- żywa kolumna
- olbrzymi jak Karpaty
- człowiek o moralności świętego
- najwyższy maszt
- książę gracji
- pierwszy robotnik w kraju
- cudowne wcielenie dobroci
- światły dąb chwały Rumunii
- ojciec i przyjaciel młodzieży

Tak naprawdę jedno z tych określeń wydaje się być w odniesieniu do Rumunów prawdziwe — on jest naszym losem.

● Minister handlu i przemysłu Izraela Ariel Szaron złoży wizytę w ZSRR. Będzie to pierwsza wizyta członka rządu izraelskiego od czasu zerwania stosunków dyplomatycznych z Izraelem przez Związek Radziecki w 1967 roku.

● Minister finansów ZSRR Walentin Pawłow poinformował, że państwo dopłaca co roku 5 miliardów rubli do blisko 8 tys. nierentownych przedsiębiorstw.

● Dotkliwe straty w gospodarce Estonii spowodowały strajki ludności rosyjskojęzycznej, protestującej przeciwko dyskryminacyjnej nowej ordynacji wyborczej.

● Rada Najwyższa ZSRR uznała uchwalony przez Radę Najwyższą Estonii projekt ordynacji wyborczej za sprzeczny z Konstytucją ZSRR.

● Tygodnik „Ogoniok” stwierdza, że decyzja przejęcia całej władzy przez bolszewików po rewolucji październikowej zniszczyła rodzącą się demokrację parlamentarną w Rosji, stwarzając warunki dla stalinowskich represji.

● „Rządzenie to jest przede wszystkim organizowanie życia społecznego, a rządy komunistów wykazały, że oni tego nie potrafią” (senator Gabriel Janowski w rozmowie z dziennikarką „ITD”).

● „PZPR posiada pewien typ zdolności do sprawowania władzy, którego nie posiadają inne ugrupowania polityczne” (sekretarz KC PZPR Sławomir Wiatr w wywiadzie dla „Życia Warszawy”).

● „Euforię [posiedzenia Klubu Poselskiego PZPR — przyp. red.] ma nieco pytanie J. Kuligowskiego o „nowym znaczeniu lojalności i dyspozycyjności posła”. To samo pytanie zadam później Mieczysławowi Rakowskiemu, który odpowie bez krygowania się, że „kto wchodzi do partii, oddaje jej część swej wolności osobistej” („Z dziennika posła” Krzysztofa Komornickiego, PZPR, „Polityka” nr 33).

● W pierwszym półroczu br. ponad 40 tysięcy członków wystąpiło z PZPR.

● Mimo apelów Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność” i senatora Piotrowskiego, nadal trwają strajki w kopalniach węgla kamiennego.

● Bank Gdański odmówił dalszego kredytowania budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu.

● Do Sejmu wpłynął projekt ustawy o zniesieniu kary śmierci.

jak mniemam — czynem specjalnie legalnym.

Ale może rzeczywiście nie warto reagować. Wiszak sierpień ma się już ku końcowi. A potem będzie wrzesień, rozpocznie się rok szkolny i wielu z owych „anarchistów” przeprosi mamę i tatę, umyje się (oby!) i grzecznie powróci do szkoły. Do tego czasu z głodu zapewne nie umrą. A zatem nie martwmy się...

(kew)

Red. Franciszkowi Piątkowskiemu wyrazy współczucia z powodu śmierci

## OJCA

składają

koleżanki i koledzy z „Relacji”

## TELEWIZYJNY HIT TYGODNIA

Jak zwykle w drugiej połowie sierpnia, uwagę widzów przykuł Międzynarodowy Festiwal Muzyki w Sopocie. Opinie były tu zawsze niejednoznaczne, często oscylujące między skrajnościami. W tym roku sprawa uległa dodatkowej komplikacji ze względu na zupełnie nowe zasady organizacyjne i nowe oblicze artystyczne festiwalu.

Piotr Bialek, kierownik takśówki nr 550 z Lublina: — Mam mieszane uczucia. Pewne rzeczy w nowej formule sopocińskiego festiwalu mi się podobały, inne nie. Najbardziej irytowały mnie niedostatków techniczne. Bezprzewodowe mikrofony i pół-playback czyniły teksty piosenek trudnymi w odbiorze. W telewizji wypadło to chyba jeszcze nie najgorzej, wyobrażam sobie jednak widzów w Operze Leśnej. Pierwszy dzień był dosyć ciekawy. Brak mi jednak orkiestry. Uważam bowiem, że dobra orkiestra to połowa dobrego widowiska. Generalnie więc wolałem dawne festiwale. Widać jednak, że Sopot trafił w ręce ludzi, którzy wiedzą, co to jest biznes.

Ewa Kłos, uczennica liceum im M. Konopnickiej w Lublinie: — Nareszcie nie wymusiłam się przy Sopocie. To wszystko bardziej przypominało show niż dżetwe zawodzenie, jak to bywało w poprzednich latach. Było trochę muzyki dyskotekowej i sporo życia. Tytuł, że również wiele chaosu i zamieszania. Ogólnie jednak zaczynamy zbliżać się chyba do takich festiwali, jakie robi się na Zachodzie.

Czesław Domerański, pracownik PZU — Zapewniałbym wiektem głosem — nie. Potknęła prowadzących, redaktorzy wciągające się w wykonywane akuraty utworów, brak jakiegokolwiek indywidualności — jedna wielka przypadkowość. Do tego samego worka wrzucano nastrojowe piosenki, kawalki pół-operowe, drażniącą muzykę nowej fali, stare imitacje „Czerwonych Gitar”, spikerów i disc-jockeyów; pyrgano nagrodami w sposób najbardziej zakłujący (zwłaszcza antenami satelitarnymi), jakieś dziewczynki podrygiwały na scenie, a atleci robili wygibasy. Tylko do pewnego stopnia mogłem wytrzymać to przedziwne widowisko.

Zbigniew Nurzyński, student matematyki UMCS: — Nareszcie coś nowego! Luz formalny i luz muzyczny. Co prawda nic mnie specjalnie nie zachwycało, ale parę zespołów mi się podobało. Nonwedzy, którzy wygrali festiwal; tradycyjnie Szwedzi, Jusosłowianie, radziecki zespół Sankt Petersburg. Amerykaniec. Zbyt duży był jednak dystans między profesjonalizmem a amatorszczyzną, której także nie brakowało. Po co w ogóle godzą się na takie występy „stansze damy” naszej muzyki rozrywkowej, jak Urszula czy Beata Kozidrak? To już chyba nie ich kategoria. Bardzo dobry krótki recital Ewy Błaszczyk.

## OGŁOSZENIE

ZAGRANICZNE oferty matrymonialne paniom, panom poleca „VENUS” skr. 27, 59-850 Swieradów-Zdrój.

1P/10

# relacje

## Z KRAJU

● 62-letni polityk katolicki, Tadeusz Mazowiecki otrzymał misję sformowania rządu. Prezydent Wojciech Jazdzewski zwrócił się do Prezydium Sejmu o zwolnienie Czesława Kiszczaka z funkcji premiera.

● Olbrzymią większością głosów Sejm i Senat odrzucili projekt ustawy budżetowej. Uchwalono jedynie prozorium budżetowe.

● Sejm powołał Komisję Nadzwyczajną do zbadania działalności Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

● W Warszawie obradował na swoim XIV posiedzeniu Komitet Centralny PZPR. Przyjął dokument pod nazwą „Stanowisko KC PZPR w sprawie powołania nowego rządu i aktualnej sytuacji politycznej”.

„Komitet Centralny — czytamy m.in. — stwierdza, że kierownictwa klubów poselskich ZSL i SD, godząc się na koalicję bez PZPR, złamały umowę dotyczącą układu sił politycznych w strukturze Sejmu. Podział mandatów pomiędzy PZPR, ZSL, SD oraz organizacje świeckich katolików i chrześcijan dokonał się przy założeniu że sojusz ten nie ma charakteru koniunkturalnego, ani też nie może być przedmiotem gry politycznej. Jeżeli umowa

ta, wielokrotnie potwierdzana przez komisję współdziałania, poniesie fiasko, na inicjatorach rozbitcia dotychczasowej koalicji spocznie historyczna odpowiedzialność za zaprzeczenie szansy maksymalnie bezkonfliktowego przejścia kraju do epoki nowego ładu ekonomicznego i politycznego. Wchodzenie na drogę konfrontacji z PZPR nie może służyć interesom kraju”.

● W Warszawie odbyło się spotkanie działaczy ludowych z całego kraju, na którym podjęto decyzję o wznowieniu działalności Polskiego Stronnictwa Ludowego, przerwanej w 1947 roku. Uczestnicy spotkania przyjęli za podstawę działania PSL program uchwalony na Kongresie Stronnictwa w styczniu 1946 roku. Prezesem honorowym został były komendant główny Batalionów Chłopskich i członek najwyższych władz PSL, gen. Franciszek Kamiński.

● Do Polski przybyły z Nowego Jorku córki Wojciecha Korfatego, przywódcy powstań śląskich, wybitnego działacza chrześcijańskiej demokracji, węgla Brzeźcia. Wznowił udział w obchodach 50 rocznicy śmierci tego wielkiego Polaka. Jego śmierć w sierpniu 1939 roku była dla tysięcy Polaków wielkim ciosem. W pogrzebie Wojciecha Korfatego wzięło udział blisko ćwierć miliona ludzi.

● Po raz pierwszy w PRL w sposób jawny i uroczysty obchodzono rocznicę zwycięstwa wojsk polskich nad Armią Czerwoną w sierpniu 1920 roku.

## „ANARCHIŚCI” NA DIECIE

NAJPIERW okleili miasto plakatami i ulotkami, w których sądzali pomieszczenia na ośrodek wolnej kultury. Potem wybrali się z petycją do prezydenta. Wreszcie sięgnęli po środek w ich mniemaniu ostateczny — opanowali Klub Międzynarodowej Prasy i Książki przy Krakowskim Przedmieściu i ogłosili głodówkę.

Sami siebie określają mianem anarchistów. Gdy jednak zapytać ich o takie nazwiska jak Stirner, Bakunin czy Kropotkin, zapada niezręczne milczenie. Nazwiska te lubelskim anarchistom mówią niewiele lub nic zgola.

A zatem siedzą i głodują. Milicja nie wieździec czemu nie reaguje, aczkolwiek okupacja klubu nie jest —

# RZĄD KOMPROMISU

Andrzej Z. Kowalczyk

**T**AKIEGO roku nie było jeszcze w historii PRL. Oto w przeciągu niespełna miesiąca mamy trzeciego z kolei premiera. Piszę — mamy, aczkolwiek kandydatura Tadeusza Mazowieckiego w chwili, gdy piszę te słowa, nie została zaakceptowana przez Sejm. Jest jednak rzeczą nie ulegającą wątpliwości, iż akceptację taką znajdzie. Tym samym stanie się rzecz bez precedensu w historii nie tylko PRL, ale także wszystkich europejskich krajów socjalistycznych — szefem rządu zostanie polityk spoza rządzących w nich partii komunistycznych. Wywodzący się z kręgów opozycyjnych. Stwarza to w kraju zupełnie nową sytuację polityczną, „wypiorokowaną” niejako przez Adama Michnika w głośnym artykule „Wasz prezydent, nasz premier”, krytykowanym notabene przez wielu prominentnych działaczy „Solidarności”.

Będzie więc nowy rząd. Skupiający przedstawicieli wszystkich znaczących sił reprezentowanych w parlamencie. Rząd wielkiej koalicji, co w gruncie rzeczy jest realizacją koncepcji lansowanej przez reformatorskie kręgi partii. Z tym tylko, iż nieco inny będzie zapewne podział tek ministerialnych.

W chwili, gdy tekst ów dotrze do rąk czytelnika, skład nowego rządu nie będzie jeszcze znany. Mimo to już teraz można sobie pozwolić na pewne spekulacje co do jego kształtu.

Nie ulega wątpliwości, iż siłą dominującą w nowym gabinecie będzie „Solidarność”. I nie ma w tym niczego dziwnego, albowiem jest rzeczą oczywistą, iż tworzący rząd premier stara się dobierać współpracowników z własnego ugrupowania. Dzieje się tak w każdym układzie koalicyjnym, a skład rządu odzwierciedla siłę poszczególnych partnerów. Toteż podział tek pomiędzy ZSL i SD będzie zapewne taki, jaka jest proporcja tych partii w parlamencie. Wyjątek stanowi PZPR, która mimo silnej reprezentacji parlamentarnej zachowa — jak się wydaje — jedynie dwa resorty: obrony narodowej i spraw wewnętrznych.

Rząd Tadeusza Mazowieckiego będzie rządem kompromisu. Kompromisy jednak mają to do siebie, iż niemal nigdy nie satysfakcjonują. Zapewne więc i w tym przypadku nie zabraknie niezadowolonych. Zresztą już są tacy. W Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej dają się słyszeć głosy, iż powierzenie Tadeuszowi Mazowieckiemu mi-

sji utworzenia rządu jest de facto oddaniem władzy przez komunistów, a nawet, iż jest to zmiana ustroju. Pierwsze z tych twierdzeń jest prawdziwe, drugie zaś nie. Ustrój się w Polsce nie zmienił, a to że rządząca dotychczas partia oddała władzę, nie jest niczym szczególnym w krajach rządzonych demokratycznie, a zatem nie powinno być i w Polsce.

Niezadowolone z kompromisu są także radykalne kręgi „Solidarności”, głoszące zasadę „wszystko albo nic”. Koalicyjną koncepcję mogą one uznać za „zdradę ideałów”, „naruszenie norm moralnych” i „nieuszanowanie woli wyborców”. O tym, iż nie jest to nieprawdopodobne, świadczą głosy domagające się rozliczenia czy wręcz odwołania tych posłów i senatorów, którzy w wyborach prezydenckich oddali głosy nieważne, umożliwiając w ten sposób wybór na to stanowisko generała Jaruzelskiego.

Zapewne do czasu tylko będą zadowoleni działacze ZSL i SD. Zadowolenie to może się skończyć bardzo szybko, gdy stanie się jasne, iż stronnictwa zamieniły po prostu jednego hegemonna koalicyjnego na innego i w gruncie rzeczy mają do powiedzenia tyle samo (lub mniej) co dotychczas. A że tak właśnie się stało, nie mam najmniejszych wątpliwości.

Niezadowoleni wreszcie będą ci wszyscy (a jest ich niemało), którzy z rządem Mazowieckiego wiążą naiwne nadzieje na radykalną i szybką poprawę stanu gospodarki.

Tadeusz Mazowiecki podjął się zadania trudnego i niewdzięcznego, co starałem się wykazać powyżej. Trudności owe potęguje jeszcze fakt, iż „Solidarność” nie ma własnego realnego programu gospodarczej reformy, co przynajmniej politycy i publicyści opozycyjni.

Jednakże rząd ów rozpocznie swą działalność z niebagatelnym atutem, jakim jest ogromny kredyt społecznego zaufania. Rzecz teraz w tym, ażeby ów kredyt należycie wykorzystać. To znaczy przekonać społeczeństwo do konieczności reform i — co więcej — umiejętnie je przeprowadzić. I nie chodzi o to, by dokonać tego własnymi siłami, bez oglądania się na innych. Tego można dokonać tylko wspólnie. Wnosząc się — w imię dobra całego kraju — ponad partykularne interesy takiego czy innego ugrupowania politycznego. Bardzo chciałbym wierzyć, iż jest to realne.

Tygodnik MOSKOWSKIE NOWOSTI zamieścił komentarz pióra Marii Pawłowej-Silwańskiej „Chwila prawdy”. Oto jego treść:

**W**OSTATNICH tygodniach koło polskiej historii krąży się tak szybko, że jego sprzeczki są prawie niewidoczne. Chodzi przy tym nie tyle o tempo, ile o to, że wydarzenia przybrały jakościowo nowy, bynajmniej nie obojętny dla strony radzieckiej obrót.

I tak już napiętą sytuację skomplikował kryzys rządowy. Desygnowany przez Sejm na premiera Czesław Kiszczak liczył na to, że zdoła utworzyć gabinet w ciągu dwóch tygodni. Już pierwsze konsultacje w tej sprawie wykazały płonność tych nadziei. Kartę przetasowało zaskakujące posunięcie Lecha Wałęsy, który zaproponował ZSL i SD wejście w koalicję z „Solidarnością” i utworzenie rządu bez PZPR. Wieloletni sojusznicy komunistów jakoby skłonili się ku temu, by propozycję tę przyjąć.

## CHWIŁA PRAWDY

Czerwcowe wybory w Polsce i niedawne wybory uzupełniające na Węgrzech wyraźnie dowiodły, że przy pierwszej nadarzającej się możliwości mniej lub bardziej swobodnego wyrażenia swojej woli wyborcy głosują nie tyle na jakiegoś konkretnego kandydata lub jego program, ile przeciwko dawnym błędom i uchybieniom. Owym fenomenem można ocenić różnie, w zależności od sympatii politycznych. Dla radzieckiej polityki zagranicznej znaczenie powinno mieć tylko jedno: niedwuznacznie wyrażona wola obywateli danego kraju nadaje tym, którzy wygrałi wybory, całkowicie legalny i niepodważalny status, w obliczu czego wszelkie inne argumenty powinny zejść na dalszy plan.

Pokojowy charakter i legalność zmian zachodzących dzisiaj w systemie politycznym Polski — a wkrótce dokonają się one również na Węgrzech — wymagają od radzieckiej polityki zagranicznej niebywałej elastyczności i przemyślanego podejścia, graniczącego z pedanterią. Obecnie każda oficjalna wypowiedź, każdy gest naszych polityków dowolnej rangi mają wielkie znaczenie. Cały świat przygląda się temu z uwagą. Uwagze analityków nie umyka żaden protokołarny „szczegół”: komu powierzono tę czy inną misję w tych krajach, kto w Moskwie podejmuje ich wysłanników do Związku Radzieckiego, komu i w jakim momencie składają wizyty radzieccy ambasadorzy. Każdy wywiad bądź komunikat analizowany jest dosłownie pod mikroskopem.

Nowe myślenie polityczne stanęło przed najpoważniejszą próbą praktyczną od chwili, kiedy zostało proklamowane podstawą radzieckiej polityki zagranicznej. Dokumenty podpisane w czasie wizyty Michaiła Gorbaczowa w RFN, jego wystąpienie na forum Rady

Europy, wywiad E. Szewardnadze dla tygodnika TIME zostały odebrane jako sygnały dystansowania się od „doktryny Breżniewa”. Nieufność nie została jednak całkowicie przezwyciężona. Zachodowi nie wystarczą żadne ustne zapewnienia, że uznajemy prawo narodów do swobodnego wyboru ustroju społeczno-politycznego. Politycy i publicyści wciąż mają wątpliwości co do tego, czy z naszej strony nie zostaną podjęte jakiegokolwiek — pod pretekstem braterskiej pomocy lub na podstawie formuły, że narody Europy wschodniej dołączyły już swego wyboru raz na zawsze.

Widmo „doktryny ograniczonej suwerenności” wciąż jeszcze krąży po Europie. Występując niedawno na międzynarodowym spotkaniu w Tyfcu, jeden z przywódców „Solidarności”, profesor B. Geremek, powiedział, że owe dziecko myśli międzynarodowoprawnej czasów Breżniewa ma przedłużone działanie, żyjąc wciąż w postaci obaw i strachu. Na takim tle hi-

storycznym nawet rutynowe, niewinne akcje dyplomatyczne oraz niezdarne i tendencyjne publikacje prasowe mogą nabrać złowieszczej wymowy.

Zastanówmy się, czy rzeczywiście tylko wąskie grono polityków z szeregów rządzących dotąd partii może cieszyć się zaufaniem państw-stron Układu Warszawskiego i gwarantować w ich oczach bezpieczeństwo granic? Wszak stabilizacja na arenie międzynarodowej opiera się przede wszystkim na wewnętrznym stabilizacji dowolnego reżimu i ten, kto nie jest w stanie jej podtrzymać, nie może chyba być uważany za autorytet poza granicami państwa. A z drugiej strony, czy rzeczywiście tak niepodważalne jest wyobrażenie, że opozycja polska (lub węgierska), znajdując się w przedstonku realnej władzy, tylko śpi i myśli, jak by tu popsuć stosunki z sąsiadami, zwłaszcza z takim gigantem jak ZSRR? Żadna niestabość polityczna nie zmienia, jak wiadomo, sytuacji państw na mapie świata. Sąsiedzi pozostają sąsiadami, a dobre stosunki między nimi mają ogromną wartość. Nie jest przypadkiem, że jeden z czołowych działaczy „Solidarności” A. Michnik oświadczył: „My, opozycjoniści, powinniśmy opracować strategię lojalnych stosunków z Moskwą. Jest to nasze pierwszoplanowe zadanie”.

Znajdujemy się rzeczywiście w bezprecedensowym momencie. Myślę, że od tego, jak ułożą się kontakty Moskwy z całym spektrum sił politycznych w Polsce i na Węgrzech, będą zależały stosunki między naszymi narodami w najbliższych dziesięcioleciach — konkluduje M. Pawłowa-Silwańska, politolog znany z interesujących publikacji na tematy polskie, ogłaszanych na łamach LITERATURNIEJ GAZIETY.

## Zamierzenia ruchu ludowego zostały przekreślone przez komunistów

# LUDOWCY PRAWDZIWI I FAŁSZYWI

Antoni Mleczkowski

**M**YŚL programowa ruchu ludowego, oparta na ideowych założeniach agraryzmu, była jednym z głównych kierunków polskiej myśli demokratycznej. Do głównych wartości ideologii chłopskiej należały: wolność i godność jednostki ludzkiej, solidarność, sprawiedliwość, wolna i twórcza praca, pokojowa egzystencja narodów. Zasadniczym celem politycznym ruchu ludowego była suwerenna, demokratyczna Polska Ludowa, w której rzeczywistym gospodarzem byłby naród (lud pracujący).

Z istoty ruchu ludowego wynikała jego przeciwstawność wobec skrajnych nurtów politycznych, które preferują głównie czynniki siły w procesie przemian ustrojowych. Ludowcy propagowali ewolucyjną drogę przeobrażeń systemu społeczno-politycznego ze względów ideowych, etycznych, ekonomicznych i narodowych (bezpieczeństwa narodu).

W okresie okupacji hitlerowskiej Stronnictwo Ludowe „Roch” zajęło negatywne stanowisko wobec Polskiej Partii Robotniczej oraz jej rewolucyjnej koncepcji wyzwolenia narodowego i społecznego. Z wielu powodów nie widziało możliwości współpracy z ruchem komunistycznym. Proponowało natomiast demokratycznemu ruchowi socjalistycznemu wspólną realizację programu głębokich reform społecznych, który byłby zbliżony do programów demokratycznych ruchów ludowych zachodniej Europy. Te zamierzenia ruchu ludowego zostały przekreślone przez komunistów, którzy przejęli władzę w powojennej Polsce.

W okupowanym kraju i na emigracji ruch ludowy zdobył mocną pozycję, na co szczególnie wpłynęły następujące czynniki: jego masowość, jedność ideowa i organizacyjna, ścisły związek z wsią, posiadanie własnej organizacji zbrojnej (Bataliony

Chłopskie) i jej aktywność, atrakcyjność programu „Rocha”, znaczący udział w rządzie emigracyjnym i jego agendach krajowych, brak jedności w gronie ówczesnych współpartnerów politycznych (PPS, SN i SP). Te czynniki stwarzały przesłanki do odegrania przez ruch ludowy decydującej roli politycznej w Polsce po zakończeniu wojny.

Oportunizm państw anglosaskich i zaboryczność radziecka zdecydowały nie tylko o okrojeniu terytorialnym Polski, lecz także o charakterze przemian ustrojowych. W kształtującej się rzeczywistości politycznej eksponentem doktryny Stalina stała się PPR (później PZPR), która nie widziała miejsca dla egzystencji niezależnego, agrarystycznego ruchu chłopskiego. Jego rozbięcie a następnie unicestwienie, stało się głównym celem działań PPR, inspirowanej i wspieranej przez czynniki zewnętrzne.

By pozbawić ruch ludowy własnej tożsamości ideowej i w następstwie zmienić kierunek polityki „Rocha”, PPR stworzyła alternatywne dla niego kierownictwo w postaci grupy „Wola Ludu”, które miało być organizatorem opozycji wobec władz konspiracyjnego ruchu ludowego. Skład personalny „Woli Ludu”, brak powiązań z istniejącymi strukturami ruchu ludowego, społeczna akceptacja programu „Rocha”, siła idei jedności ruchu ludowego, antykomunizm chłopów, zdecydowały o tym, że ten eksperyment nie udał się.

Natomiast częściowo powiódł się drugi zamiar PPR, dotyczący utworzenia antyagrarnistycznego, prokomunistycznego stronnictwa chłopskiego, które

(Dokończenie na str. 14)

# Łazienki i wanny dopełniać będą urzędniczego wyposażenia W GORZKOWIE MODA NA CZYŚCIOSZKÓW

Izabella Wlazłowska

**W** GORZKOWIE nie lubią dziennikarzy. Ich pojawienie nie wróży bowiem nic dobrego. Przyjechała dla przykładu w ubiegłym roku telewizja, to zaraz cała Polska musiała się dowiedzieć, że zmarnowanych zostało kilkadziesiąt ton zboża. A kiedy odwiedziła Gorzków po raz wtóry, to znowu w Polskę poszło, że od 10 lat stoi tam okropnie zdewastowany, nieczynny młyn, a winnego takiego marnotrawstwa w żaden sposób odnaleźć nie można.

Władza gminna dobrze wyraża się tylko o jednym dziennikarzu. Kiedy bowiem zjeżdżał do Gorzkowa, wsadzano go do samochodu i obwożono po gminie. A potem wszyscy czytali w gazecie — pieczołowicie zbierane były wycinki prasowe — że pszenica nad podziw w gminie wyrosła, a tuczniaki i trzoda chlewna statystycznie większe niż u sąsiadów. Dowodziło to oczywiście, że rolnicy tu przodują, a władza administracyjna (no i oczywiście polityczna, bo jakże inaczej) oraz pozostałe tzw. czynniki także samo przodują.

Więc kiedy jeszcze ja nawiedziłam Gorzków i niepochlebnie się o nim

wyraziłam, a zaraz za mną koleżanka po fachu zrobiła to samo, zebrali się miejscowi wódatrzy i dawaj myśleć, co z tymi babami zrobić. No i wymyślili. „Olać” — słowo to zaczerpnięte z żargonu młodzieżowego. O przykrym najlepiej szybko zapomnieć. Z podobnego założenia wyszły i władze wojewódzkie, które mimo paru pytań skierowanych w artykułach pod ich adresem, nabrały wody w usta i też postawiły na przeczekanie.

Błędem byłoby myśleć, że dziennikarz, który występuje jako rzecznik interesów społecznych, przejdzie do porządku dziennego nad tym, że go „olano” i w efekcie „oleje” tych, którzy zwrócili się do niego ze swoimi problemami. A że w Gorzkowie nie dzieje się najlepiej, wciąż mnie informują czytelnicy.

Kiedy pod koniec ubiegłego roku ówczesny prezes GS Albin Policha opowiadał mi historię młyna, który od 10 lat stał zamknięty i był solą w oku miejscowych chłopów, wydawało mi się, że oto wreszcie znalazł się człowiek, który po ostatecznym ustaleniu stanu prawnego coś z tym obie-

ktem zrobi, aby raz na zawsze zakończyć sprawę.

Jakież więc było moje zdumienie, kiedy zamiast ustosunkowania się do krytycznej publikacji, Wojewódzki Związek Gminnych Spółdzielni w Zamościu pogodził się z usunięciem prezesa Polichy ze stanowiska (czyżby za dużo nagadał dziennikarzem?) i obsadzeniem tego stanowiska przez nauczyciela, społecznego przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej, a zarazem wielce wesołego człowieka. Zaczął on bowiem swoje urzędowanie w GS od słynnego już balu, o którym prasa doniosła:

„Świętowano w miejscowej knajpie. Prezes GS zaprosił tam swoje pracownice zamykające o 12.30 drzwi przed nosem stałych bywalców... Wieczorem w zamkniętej knajpie bawili się już tylko cztery pary. Rej wdzili prezesi... Połowa wsi ściągnęła pod knajpę, żeby coś podpatrzeć... Znaleźli się usłudźni przyjaciele, którzy zawiadomili żonę prezesa, że powinna zabrać pijanego małżonka do domu. Ta długo dobijała się do drzwi knajpy, zanim ktoś raczył jej otworzyć. W osło-

niętym wnętrzu bocznego pomieszczenia odnalazła małżonka radującego się widokiem gołej panielki (pracownicy), tańczącej na »prezesowskim« stoliku. Uczestnicy libacji powiedzą później: Kazał jej się rozebrać, to się rozebrała. Podstawówki nie skończyła, a pracuje na etacie umysłowej. Za to coś się należy, no nie?... Rachunku w knajpie nikt oczywiście nie uregulował”.

Kiedy pod koniec ubiegłego roku byłam w Gorzkowie, ludzie mówili:

— Plac przy magazynie GS jest wciąż nie utwardzony. A to materiały budowlane gdzie poginęły, to znowu nie ma na nie pieniędzy. Ale na budowę wielkiego biurowca, w którym są łazienki z wannami, to pieniądze się znalazły. Z czyjej kieszeni one poszły? Nikt nam do tej pory nie odpowiedział na pytanie, po co urzędnikom glazury i wanny, kiedy po chleb kupowany w spożywczym kiosku trzeba stać na deszczu i mrozie.

Mnie też na te pytania nikt nie odpowiedział. Ale grunt, że w GS jest wesoło — prawda szanowny Wojewódzki Związek Gminnych Spółdzielni, który nie wiem, czy z powodu szalejącej demokracji sprawuje jeszcze jakąś kontrolę nad gminami, czy jest już tylko nikomu niepotrzebną efemerydą?

Sądę też, że i Wojewódzka Rada Narodowa w Zamościu zachwycona jest, że w terenie działają przewodniczący GRN o tak wybitnym kozackim temperamentie, że nie wspomnę już o Kuratorium Oświaty i Wychowania, którego terenowa kadra, jak widać, nadąża za nadciągającą z Zachodu modą na naturalizm.

Jest jeszcze inna moda, która zawładnęła Gorzkowem. Moda na czyścioszki. Jak słyszałam od mieszkańców, w budowanym biurowcu GS łazienki i wanny dopełniać będą urzęd-



Ratunkiem jest adopcja.

Fot. autorka

Violetta Krasnowska

**P**RZYCHODZĄ tutaj, siadają w tym fotelu i w placz. Takie jest nasze pierwsze spotkanie — mówi siostra Anna Burkiewicz ze Zgromadzenia Franciszkanek Misjonarek Maryjnych, kierowniczka Państwowego Domu Małych Dzieci w Łabuniach. — Jakże są te dziewczynki? Różne. Wiele pochodzi z tzw. marginesu społecznego: Bywa, że część nie zna nawet nazwisk ojców swojego potomstwa. Miewają po kilkoro dzieci, a każde ma innego tatusia. Były też więźniarki, z przerwą w wyniku na urodzenie dziecka. Trafiają tutaj dziewczynki słabe charakterologicznie, niedojrzałe, te, które najczęściej nie miały po prostu dobrego przykładu w domu. Ale przychodzi też do nas wiele dobrych dziewczyn. Zakochały się i wpadły. Wykorzystał, zostawił... Czasami schodzę tam do nich do pokoju. I będzie się pani śmiała, ale mówię im o miłości. Przede wszystkim o konieczności porozumienia psychicznego dwojga ludzi, zrozumienia. Mówię im, że nie można budować domu od kamina. Ot, hop do łóżka i to jest cała miłość.

## Przerażająco proste: urodzić, zostawić, wyjechać, zapomnieć

Siostra zamyśla się i po chwili dodaje:

— Ale nie wiem, czy to do nich w ogóle dociera. Czy rozumieją, co ja do nich mówię. Zazwyczaj nie nie odpowiadają. Nie znaczy to wcale, że przyjeżdżają tutaj dziewczynki łatwe czy lekkiego prowadzenia. To krzywdzące uproszczenie. Ale wieś ma jednoznaczny sąd na ich temat. Kiedyś wyrzuciłam za drzwi jedną z mieszkanki wsi, która przyszła do mnie by... pożyczyc jedną z dziewcząt na Sylwestra dla swojego syna

Gdy po raz pierwszy przyjechałam do Łabuń, świeżo wyremontowany dwór, w którym mieści się ośrodek otoczony dużym parkiem, pełnym różnorodnych klombów, sprawiał wrażenie rajy na ziemi. Pełno dzieci, dużo ruchu, śmiech, słońce. Przy brzydkiej pogodzie ogród pustoszeje, życie w dworcu zamiera i wydaje się, że to miejsce jest na końcu świata, zapomniane przez wszystkich. Wokół panuje cisza. We wnętrzu dworku — codzienne, wielkie dramaty. Dzieci i dorosłych. Na korytarzu spotykam kobiety. Odwrócona tyłem. Wysoka, mocno przygarbiona. Gdy po chwili odwraca głowę, patrzę w bezrozumną twarz z pustymi, nie mówiącymi oczyma.

To schizofreniczka — mówi mi chwilę później siostra kierowniczką. — Przyjeżdża tutaj zawsze, kiedy tylko dostaje przepustkę ze szpitala. Widac pogłębiającą się chorobę... Córka jest dla niej jedynym punktem zaczepienia, jedynym szczęściem.

Kobieta sprawia wrażenie bezradnej, zagubionej, przerażonej. Krótka będzie mogła cieszyć się swoim dzieckiem.

Jest tutaj także druga kobieta obciążona chorobą psychiczną. Wygląda zwyczajnie, trudno dostrzec jakieś objawy choroby. Odwiedzam ją na oddziale noworodków. Karmi akurat małą. Trzydziestoczteroletnia Mirosława najbardziej boi się tego, że z powodu swojej choroby zostanie pozbawiona praw rodzicielskich. Ale ma nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży, gdyż lekarze twierdzili, że po urodzeniu dziecka choroba matki może zaniknąć lub ulec poważnemu cofnięciu.

A może nie powinniśmy leczyć się u psychiatry, tylko u neurologa? — pyta. — I wszystko będzie dobrze. Monika mnie wyleczy, a ja stworzę jej prawdziwą rodzinę.

Patrzę na nią cichą, spokojną, mówiącą wolno i zdecydowanie i myślę, że tak właśnie może się stać.

Najczęściej trafiają tu kobiety ze środowisk wiejskich lub małomiasteczkowych, gdzie panny w ciąży wzbudzają ogromne potępienie. Pruderia tych środowisk doprowadza nawet do tego, że sami rodzice proponują dziewczynie pieniądze na zabieg, żeby tylko sąsiedzi się nie dowiedzieli i żeby wstydu dla rodziny nie było. Jeżeli dziewczyna jest oporna, nie zgadza się na zabieg,

chce urodzić, jej jedynym wyjściem jest opuszczenie rodzinnego domu i miejscowości.

— Jak na twoją ciążę zareagowali rodzice? — pytam Jolkę.

— Mama to jakoś tak normalnie zareagowała. Śmiała się — odpowiada. — Tato zapytał mnie, w którym miesiącu jestem. Byłam w szóstym. Myślał, że jestem na początku i mówił o usunięciu. Ja nie chciałam. Kazał mi się spakować i powiedział, żebym się w ogóle nie pokazywała. Gdzie później pójdę? Jeszcze nie wiem.

Dlatego ten ośrodek jest często jedynym miejscem, gdzie mogą znaleźć dach nad głową, miejsce do spania i wikt. Oprócz tego mają tutaj fa-

# DOM

chową pomoc dla siebie i dziecka. Mogą tu przyjeżdżać już w szóstym miesiącu ciąży i przebywać aż do zakończenia karmienia piersią. Jedne chyłkiem uciekają, porzucając dziecko, inne przeciwnie: siedzą, jak długo się da, traktując to miejsce jako doskonały hotel, markując poszukiwania stancji i pracy. Bywa też, że matka rzeczywiście stara się znaleźć jakiś kąt dla siebie i dziecka, jakąś pracę. I takiej siostra kierowniczką stara się pomagać, wyszukując na własną rękę dobrą pracę, stancję, a czasem daje na nową, samodzielną drogę jakąś małą wyprawkę.

Są trzy. W zaawansowanej ciąży. Pokój ciemny, zimny i nieprzytulny. Suterena. Przez jedyne, okratowane okienko chyba nigdy nie wpada słońce. Wzdłuż ścian stoją rzędami tapczaniki, obok nich podręczne szafki. Regalik. Na nim puste pudełka po zagranicznych odżywkach dla dzieci. Półka z książkami i kolorowe, papierowe obrazki z optymistycznymi sentencjami typu: „Wszystko można zacząć od początku”. W rogu stoi telewizor. Chłód który tak silnie odczuwam, nie związany jest jedynie z niskim położeniem pokoju. Ten pokój jest obcy, nijaki. Jakby tutaj nie mieszkali ludzie. Nie widać na wierzchu żadnych osobistych rzeczy lokatorów.

Ten pokój traktowany jest jak hotel, jak miejsce, do którego przyjeżdża się, by go zaraz opuścić, a przecież właśnie w nim te młode kobiety spędzają parę miesięcy.

Ładna dziewczyna proponuje, by zwiedzić park. Już zaroiło się w alejkach od dzieci. Jedne siedzą w wózkach, inne czepiają się spódnicy opiekunek. Słucham opowieści Justyny. Jej plany na najbliższą przyszłość są przerażająco proste: urodzić, zostawić, wyjechać, zapomnieć. Nikt z sąsia-

nicznego wyposażenia w biurka i długopisy. Podobnie rzecz ma się w budowanym już od prawie 10 lat przedszkolu. Przez 10 lat — jak sądzę — po to, aby było wybudowane porządnie. Mniejsza o dzieci, które w tym czasie pokończyły już szkoły. W tym gigantycznym przedszkolu (jego kubatura jest, jak na gminę, wyjątkowo duża, w przeciwieństwie do liczby dzieci — wyjątkowo małej) są między innymi: pokój lekarza, izolatka z ubikacją i umywalką, przebieralnia personelu pedagogicznego z ubikacją i natryskiem, kuchnia z ubikacją i umywalką, dwie sale dla dzieci, a przy każdej z nich po kilka oczek WC, umywalki i brodziki z natryskami, kotłownia z WC, umywalką i natryskiem. I jedynie w pomieszczeniu sprzątaczk nie pomyślano o osobnym natrysku. Szkoda, bo jednak sprzątaczką najwięcej sobie rąk nabrudzi po tych wszystkich czyszczeniach.

Mieszkańcy Gorzkowa wciąż zachodzą w głowy, skąd w tej wyjątkowo starzejącej się gminie znajdzie się tyle dzieci, żeby ten budynek właściwie wykorzystać. A koszty utrzymania tego obiektu? Czy skromny budżet gminny stać na taki luksus? Nie wspomnę już o kosztach, które utopiono w rozbabranym od lat obiekcie. Pytania te kierowane pod adresem władz oświatowych ciągle pozostają bez odpowiedzi.

Bez odpowiedzi pozostają też pytania kierowane pod adresem służby zdrowia, która buduje (pewnie też z 10 lat) sławny na całą okolicę ośrodek zdrowia. Legendy, które o nim krążą, wypełniłyby fabułę niejednego sensacyjnego filmu.

Mieszkańców Gorzkowa denerwuje arogancja szeroko pojętej władzy, która dba o swoje interesy; sprawy ludzi i osady pozostawiając na „święty nigdy”. Ot, choćby ostatni przykład zakupu strażackiego Żuka przez komendanta straży. Żuk był sprawny, aż któregoś dnia znalazł się na drzewie i jako że z wypadku — został za-

symboliczną kwotę sprzedany komentantowi. Wyklepało się w Żuku blachę i już się jeździ.

— A mnie jest Żuk potrzebny w gospodarstwie — słyszę — tylko gdzie go mam kupić i za ile?

Niejako na marginesie, wróć do podejmowanego przeze mnie tematu gorzkowskiego stawu, którego powierzchnia z biegiem lat ulegała tajemniczemu pomniejszeniu. Wydawało mi się, że pytania, które postawiłam w napisanym wówczas artykule, były na tyle poważne, aby w podobny sposób je potraktowano. W efekcie po ponagleniach z mojej strony otrzymałam głupawą odpowiedź podpisaną przez gminnego geodetę, który tak samo dobrze jak ja wie, bo ma te dokumenty u siebie w biurku, gdzie podziały się hektary z gorzkowskiego stawu, które podczas uwłaszczenia „dopisane” zostały niektórym rolnikom. A że je „dopisano”, wiem od tych, którzy przed uwłaszczeniem nie byli właścicielami łąk powstałych z powierzchni gorzkowskiego stawu, który jest objęty Państwowym Funduszem Ziemi i jako taki nie podlega uwłaszczeniu.

Może wypowiedzą się w tej sprawie Wojewódzka Komisja ds. Uwłaszczeń i Wojewódzki Wydział Geodezji, aby ostatecznie wyjaśnić mieszkańcom Gorzkowa, dlaczego to pierwotnie powierzchnia stawu miała około 32 hektarów PFZ, a po ich „wyparowaniu”, na mapach geodezyjnych pozostało niewiele ponad 16 ha. W imię jakiego prawa to się stało?

Unikanie odpowiedzi na „drażliwe tematy” nie spowoduje, że tematy te przestaną istnieć lub w cudowny sposób same się rozwiążą. Zawsze znajdą się ludzie, którym interes ogółu bardziej będzie leżał na sercu niż załatwianie prywatnych, małych interesików, o których prędzej czy później i tak się sędzi dowiedzą.

A poza tym w Gorzkowie bez zmian.

## LISTY - POLEMIKI

### „Jeszcze w sprawie albumu”

Z wakacyjnym opóźnieniem, za co przepraszam, odpowiadam na replikę dwóch panów w nr 25 „Relacji”, dotyczącą mojej „recenzji” albumu „Lublin w fotografii Zbigniewa Zugaja” („Relacje” nr 16).

Typowe to niestety jeszcze u nas zjawisko, że polemizuje się przy pomocy wyrwanych z kontekstu fragmentów tekstu i to skompromitowaną metodą. Jedna osoba wymienia braki, zaś adwersarze krzyczą: „Ale za to jest coś innego” i długo wymieniają to, co jest.

Panowie autorzy listu nie przeczytali dokładnie mojego tekstu, ponieważ wcale nie ma w nim informacji, że na Rogatce Lubartowskiej stoi pomnik powstańców styczniowych, ale że jest to pomnik z miejsca ich straceń, a to wcale nie to samo. Informację o tym uzyskałam od przewodnika po Lublinie, który opowiadał o tym miejscu jako o szczególnym, gdzie Różaniec specjalnie stracili kilku Polaków skazanych za udział w powstaniu styczniowym, by jeszcze bardziej zdławić polskie nadzieje, jako że miejsce to już wcześniej kojarzyło się z klęską.

Rozśmieszyło mnie imputowanie mi... terroryzmu. Panowie! Pomysł na umieszczenie fotogramu pomni-

ka pana Bieruta w albumie pt. „Lublin, którego nie ma” wcale nie oznacza, że produkuję bombę do wysadzenia pomnika z cokołu! Proszę się nie bać!

Co do nowych świątyni, których brak. Może wszystkie piękne nie są, ale istnieją! Istnieją w krajobrazie lubelskich sześciennych betonowych pudeł, tworzących osiedla i pominięcie ich w wszystkich jest manipulacją obrazem miasta!

Pytają panowie, dlaczego pomnik na dziedzińcu KUL jest najbardziej znany. Znowu ta polska zaściankowość! Dlatego, proszę panów, bo jest reprodukowany w najważniejszych europejskich i światowych wydawnictwach dotyczących pontyfikatu Jana Pawła II — z jednej strony — i działalności KUL — z drugiej — i to jest fakt, czy się komu podoba, czy nie.

I jeszcze. Gdy ktoś „chwytą za pióro”, co tak dowcipnie sparodiowa! moi adwersarze, to po to, by podzielić się swoimi odczuciami, głęboko subiektywnymi, więc gdy piszę „albumik”, to jest to dla mnie albumik, dla panów może być album, a nie album obiektywne, bo starali się przemycić autorzy listu do świadomości czytelników.

Na zakończenie chciałabym prosić o skasowanie inwektyw w polemice, rzecz dotyczy także innych listów na łamach „Relacji”; miejmy do siebie szacunek, zachowując odmiennie poglądy.

Beata Poniatowska  
Lublin

PS. Bardzo podobała mi się odpowiedź na łamach — najwrdziej za interesowanego moją krytyką, czyli Autora albumu. A co na to Wydawnictwo Lubelskie?

B.F.

dów nie wie i się nie dowie — zapewnia. Tak uradziła z rodzicami i tak będzie najlepiej. Najbardziej to chciałaby tego dziecka nie widzieć, nie karmić i nie dotykać. Chciałaby, żeby zostało zabrane do ośrodka od razu ze szpitala. Boi się, że może się do niego przywiązać, pokochać. A z tym wiąże się życiowe komplikacje. Przecież jest młoda, chce wyjść za mąż i rodzić dużo „mażeńskich” dzieci. Jeżeli będą dziewczynki, to będzie im wiązała piękne, kolorowe wstążeczki we włosach...

Rozmowę przerywa inna młoda ciężarna dziewczyna, prowadząca wózek ze swoją dziesięciomiesięczną córeczką. Magda jest w tej chwili w trakcie załatwiania sprawy o alimenty z ojcem dziecka.

I on jeszcze mówi, że to nie jego — stwierdza z wściekłością. — Dobra, niech robi badania.

wadzonym zabiegiem. Strach przed bezpłodnością. Inne nie potrafią odpowiedzieć dlaczego. Rodzą i tyle. „Najwyżej się zostawi” — mówią. Znajdujący się tuż obok, piętrowy wyżej, świat dzieci zupełnie się nie interesuje. Są tak blisko i zarazem tak daleko.

— A nam przede wszystkim chodzi o dzieci — mówi siostra Burkiewicz. — Naszym celem jest ratowanie dzieci odrzuconych przez biologicznych rodziców. Bo to przede wszystkim jest dom dla dzieci, a nie samotnych matek.

Swiat porzuconych dzieci, nie chcianych, przywożonych często przez milicję z jakiejś meliny, odebranych od katujących je rodziców lub wprost ze szpitala czy izb położniczych... Przypominają sobie o nich dwa razy w roku. W Dzień Dziecka i na św. Mikołaja. Słucham z przerażeniem o

Często z myślą o swojej starości liczą na przyszłościową szklankę wody od swoich dzieci. Zdarza się, i to coraz częściej, że dziecko jest elementem przetargowym w walce o mieszkanie. Zapewne z tego powodu — sugeruje siostra — niewiele jest ostatnio dzieci w Dmch Małych Dzieci. Później, jak mamusia już mieszkanie dostanie, to taki malec i tak trafia do sierocińca.

Siostra Anna walczy zaciekle. Kiedy trzeba, krzyczy na opornych sędziów, którzy — nawet gdy nikt nie interesuje się dzieckiem — tylko ograniczają władzę rodzicielską, kierując się zasadą: lepsza gorsza matka, ale własna, od najlepszej, ale cudzej... Nasze prawo jest w tym wypadku zbyt liberalne. Według niego, rodziców można pozbawić praw, gdy „rażąco zaniedbują” dziecko. Ale zakres słowa „rażąco” jest obszerny. Czy kartki wysyłane dwa razy do roku — to jest już „rażąco”, czy jeszcze nie?

# DLA SAMOTNYCH

Zabuli, że hej. Teraz takie badania kosztują około 100 tysięcy.

Teraz krewni ojca jeszcze nie narodzonego dziecka załatwiają ponoć mieszkanie dla niej, bo przecież w melinie mieszkać z dziećmi nie będzie. Córkę zabrała ze sobą, gdyż, jak mówi, mała nie odstępowała jej na krok. Płacze, kiedy jej nie widzi.

Spotykamy kolejną lokatorkę ośrodka, która niedawno urodziła bliźniaki. Mija nas z dumnie uniesioną głową, uśmiechnięta, trzymając pod rękę swojego gościa.

— To ojciec dzieci. Przyjechał, żeby je zobaczyć — słyszę. Odwiedziny należą tutaj do rzadkości, więc wzbudzają sensację. Dziewczyny mówią, że takiego to by nie chciały... Rzeczywiście: niechlujnie ubrany, nieogolony i na dodatek załatuje od niego alkoholem. Nie jest wymarzoną postacią męską... Ale w tych głosach słychać mocno ukrywaną zazdrość, że to nie do nich ktoś przyjechał.

W naszym pokoju najwięcej jest milczenia. Jedyna rozrywka to telewizor grający prawie przez cały dzień. Mało opowiadają o sobie. Z niekończących, urywanych zdań dowiaduje się, że dwóm spośród czterech mieszkank ośrodka ginekolog zapropozował wykonanie skrobanki w 6-7 miesiącu ciąży. Ich to nie dziwi. Nie są również zaskoczone opowieściami o fatalnym traktowaniu niezamężnych kobiet ciężarnych przez lekarzy i personel w szpitalu.

— Epitety są na porządku dziennym — mówi Magda.

Z różnych powodów zdecydowały się na urodzenie nieślubnego dziecka. Raz był to strach przed komplikacjami, chorobami związanymi z przepro-

najzadach — właśnie w te dni — grup szkolnych, wojska. Przyjeżdżali tutaj, by obejrzeć dzieci. Tak było kiedyś, bo siostra zdecydowanie zabroniła takich wizyt, tym bardziej, że wtedy dzieci, przeżone dużą ilością nowych twarzy, uciekały z krzykiem w najciemniejsze kąty.

— To nie zoo, ani cyrk. Tu nie ma nic do oglądania — komentuje swoją decyzję siostra kierownik.

Największą pomocą, najlepszym ratunkiem dla tych dzieci jest adopcja. Do rzadkości należy podpisanie przez matkę, trzydzieści dni po porodzie, tzw. zgody blankietowej, co jest równoznaczne ze zrzeczeniem się praw do dziecka. Później te kobiety najczęściej żałują tego kroku. Piszą listy, które są jednym, wielkim krzykiem rozpacz i zawierają prośbę o podanie chociaż najdrobniejszej informacji — kto zabrał dziecko i gdzie się teraz znajduje. Ale takich informacji nikt nie ma prawa podawać. Każdemu adoptowanemu dziecku wyrabia się nową metrykę urodzenia i na życzenie nowych rodziców zmienia imię.

Sytuacja dziecka, już wolnego prawnie, jest najkorzystniejsza. Jest tym lepsza, im dziecko młodsze, bo właśnie na małe dzieci „zapotrzebowanie” największe.

Najczęściej jednak o dziecko trzeba walczyć. — Są sędziowie — mówi siostra — którzy rozumieją potrzebę szybkiego uregulowania sytuacji prawnej dziecka. Działają szybko i zdecydowanie. Jeżeli ewidentny jest brak zainteresowania dzieckiem, sprawy o pozbawienie praw rodzicielskich są załatwiane prawie od ręki. Oczywiście po gruntownych wywiadach społecznych. Ale też rodzice, którzy na co dzień nie pamiętają o swoich dzieciach, w sądzie walczą zaciekle. Dlaczego?

Patrzę na ganiające po ogrodzie dzieci, szczególnie na te starsze, których los jest już właściwie przesądzony i zastanawiam się nad paranoją resortową, urzędniczym podejściem do dzieci. Domy Małych Dzieci podlegają Ministerstwu Zdrowia i Opieki Społecznej, zaś Domy Dziecka — Ministerstwu Edukacji Narodowej. Dlatego też dzieci po ukończeniu trzeciego roku życia muszą opuścić ośrodek i iść w tzw. nieznaną, czyli do innego ośrodka, miasta, do innych opiekunek i kolegów, podczas gdy nawet przeprowadzka z jednego pokoju do drugiego, w obrębie jednego korytarza jest dla nich wielkim przeżyciem i powoduje głęboki stres. A przecież wiadomo, że te pierwsze lata życia mają największy wpływ na psychikę człowieka. I nikomu widocznie nie przychodzi do głowy, że dziecku, już i tak głęboko skrzywdzonemu brakiem rodziny, przetrucanemu z jednego ośrodka do innego, można stworzyć namiastkę domu umożliwiając mu przebywanie w jednym ośrodku aż do pełnoletności.

Trafiłam akurat na wielką awanturę. Krzyk, płacz. To jedna z dziewczynek wyładowuje swoją agresję na innych dzieciach, gryząc je gdzie popadnie. Chce zwrócić na siebie uwagę. Chce być choć przez chwilę w centrum zainteresowania. Dwie opiekunki nie mogą interesować się jednocześnie wszystkimi dziećmi. Mają zresztą swoich pupilów i ulubieńców. Gdy rozmawiam z tą małą złościcą, wyróżniając ją w ten sposób spośród gromady, jej zachowanie zmienia się. Staje się grzeczna i miła, stoi spokojnie obok mnie, machając ręką innym, kręcącym się na karuzeli dzieciom.

Te małe dzieci są już kalekami. Nie mają — jak określają pedagodzy — witaminy M, czyli miłości. Tej choroby nie da się już nigdy wyleczyć. Pozostają nią obciążone przez całe życie. PS. Wszystkie imiona zostały zmienione.

# WAKACJE Z BRONIĄ 1920

Aleksander Kielasiński

**13 SIERPNIĄ, W MARSZU.** Nie do Rembertowa, a na linię frontu idziemy. Będziemy przydzieleni do 36 pp., a w nocy zapewne otrzymamy chrzest bojowy. Wfara pomęczona, a słońce piecze niemiłosiernie. Pot spływa mi obficie po skroniach. Z dala słychać przytłumiony huk armat.

— Jak się wam zdaje — pyta ktoś — daleko front?

— Ze dwadzieścia wiorst.

Naraz gwałtowniejszy strzał wstrząsnął powietrzem.

— Chyba bliżej.

Wchodzimy do lasu i tu mamy spoczynek. Rumiane podłoże wrzosów. Przytulam się do niego zmęczony i tak mi ładnie. Wspomnienia. „Powstań, maszerować!” — pada rozkaz.

Posuwamy się. Huk armat potężnieje. Gdzieś na horyzoncie widać jakoweś dymy wybuchające, ale jakieś białe, rozplywające się. Brniemy po piasku. Przeszliśmy jakiś strumyk w bród. Nie dostaliśmy jeszcze „fasunka”, a taki głodny jestem, że wołu bym zjadł.

— Jezus Maria — biada jeden.

— Do diaska, nie możemy jakoś dojść.

— Bogdajby pękli ci porucznicy, którzy nie wiedzą, gdzie nas prowadzą.

Ja milczę. Postanowiłem wcale nie narzekać i trudy nosić wytrwale.

Buch, buch, buch! Kłęby dymu od rozrywających się szrapneli. Gdzieś daleko przesuwa się oddział kawalerii.

— O, bolszewicy, bolszewicy — ktoś zawołał podniecony.

— Głupsi! — otrzymał odpowiedź.

7-ma wieczór. Dwanaście godzin marszu. Brz. Sciskam karabin, który mi ducha dodaje.

Doszliśmy do Ostrowa. Pułkownik Sawicki pochwalił naszą sprawność. Wykonano z nami szereg ćwiczeń polowych, które wypadły ku naszej chwale. „Jesteście starymi żołnierzami!” — mówi.

Dodało nam to ducha, uszy się nam w górę podniosły z dumy. Ulokowaliśmy się w jakiejś wiosce — Ostów podobno.

**14 SIERPNIĄ.** Na linii strzelanina. Olek Salaciński został ranny w głowę, kiedyśmy kolumną schodzili z szosy na pole. U nóg mi się osunął i takie śmieszne, bo podniósł się ze skrawioną głową i, zwracając się do oficera, powiada:

— Panię porucznika, czy mogę odejść, bo jestem ranny.

— Naturalnie. — I poszedł na tyły.

Noc spędziliśmy bezsenne. Leżałem pod jakąś szopą na wiązce słomy. Gdzieś w pobliżu trup jakiegoś stworzenia, może człowieka... Jasno jak w dzień. Nieustanny huk armat i jazgot karabinów maszynowych, zgiełk. A niebo takie piękne, usiane tysiącami gwiazd i takie spokojne na uragowisko ludziom. Nad głową świst kul, które uderzają w szopę. Dziwny dźwięk... Ktoś mnie pouczył, że te kule, które świszczą, to są nieszkodliwe. „I nie uchylaj — powiada — głowy, bo cię druga trafi, ta co nie świszczą!”

Leżymy w tyralierze okopani. Mam przed nosem nasyp wysokości stopy, może dwu, a głowę przytknąłem do ziemi i piszę. Kule sypią się jak groch. Jedna padła w nasyp i sypnęła mi piaskiem w oczy, druga u nóg. Po-

stałbym tam kulę, tylko nie było rozkazu.

Już godzina 10, a my nie mamy nic do zjedzenia od wczoraj. Wściekle jestem głodny. Karabin okryłem chustką, aby się nie zasypał piaskiem, bo znów kula uderzyła w nasyp i plunęła na mnie piachem. Tróchę mi ciarką łażą po skórze, a nogi mnie tak boją, że nie mogę nimi poruszać.

Wieczór. Hollender, dopiero! Skandal, dalibóg!

Rozwinęła się tyraliera, bolszewicy następowali, byli już w tej wsi, w której stoimy. Lewe skrzydło ruszyło do ataku, a do nas nie przyszedł rozkaz. Po skończonej bitwie major Dobrowolski z wymówkami do nas, że nie ruszyliśmy.

— Nie było rozkazu — mówi ktoś.

— Milczcie! — krzyczy. — Tchórzami jesteście.

Krew we mnie zawrzała. Pluć tylko w oczy. Psiakrew!

— Przebaczam wam teraz, może później się spiszecie.

— Nam przebaczenia nie trzeba, jesteśmy niewinni — wołano stąd i stamtąd. — Zebyśmy to zrobili z tchórzostwa!

**15 SIERPNIĄ.** Wybieraliśmy się tej nocy do ataku. Cała noc przeszła nam na ostrym pogotowiu. Mało co spałiśmy. Jakaś zmora mnie napadała: czy nie zgine? Noc ciemna... Naraz robi się jasno jak w dzień. Pochodnia jakaś z cichej wsi polskiej wzniosła się ku górze. Języki ognia pełzają, obejmują chałupy w serdeczny uścisk.

Bezustanny świst kul. Słychać jakby bulgotanie gotującej się zupy. Leżę z przyniętymi oczami przy karabinie. Pomalu je otwieram — gwiazdy błyszczą na niebie miękko, jakby akşamitnym światłem. Wiatr łagodnie wieje, a huk armat co chwila wstrząsa ziemią, wstrząsa powietrzem, wstrząsa wiatrem. Leżę cicho, zasłuchany w tę dziwną muzykę wojennej nocy. Z dala słychać stłumione głosy żołnierzy, które nasilają się w brzmieniu i cichną znowu. Niby brzęczenie komarów. I znowu ta głośna cisza...

Naraz strach wypełził z cieniów nocy i siadł obok mnie szepcząc ponuro:

— Zginiesz. Zginiesz... Zginiesz...

A gwiazdy tak cudnie świecą na niebie. Sen skleił mi powieki — zasnąłem strudzony.

**16 SIERPNIĄ 5 RANO.** Po całonocnym marszu otrzymaliśmy kapeńkę od poczynku. Wsunęliśmy się z Ostowa wielką kolumną. Sztandar pułku powiewał dumnie, wszyscy z uśmiechem i pieśnią na ustach. Brniemy przez piaski. Padł się wokół, szrapnele pękają z hukiem. Później wszystko ucichło, posuwaliśmy się w milczeniu. Sen kleił powieki. Idziemy poprzez pola, lasy, brniemy przez błota, trawy. Dochodzimy do lasu, gdzie się zatrzymujemy.

— Batalion, stój.

— Stój!

— „Stój! W lewo front! W kozły broń!”

Szept żołnierzy zamieniają się w głośny gwar. Naraz padł rozkaz:

— Milczcie tam! Ani słowa! Pierwsza kompania wyznacza wartę i łączniki.

— Rozkaz, panie kapitanie!

Oparłem się o drzewo strudzony i zasnąłem od razu. Budziłem się co chwila. Tak człowiek przywykł do czuwania. Wieczór... Znow chodzimy po leśnych piaskach, miękkich wrzosach.

**17 SIERPNIĄ, WARTA.** Jestem narazie w domu, oglądam twarze drogie mi osób. Dobrze mi, wygodnie, całkiem po królewsku! Naraz budzę się, ktoś mnie szarpie za ramię:

— Wstawaj na wartę!

— Niech cię kule biją! Nie mógłbyś kogo innego obudzić — mówię, oczy przecierając kulakiem.

— Wstawaj! Na ciebie kolej!

Wziąłem karabin w garść i zacząłem chodzić dookoła kozłów z karabinów. Poprzednik mój płacnął pod drzewem i wnet rozległo się chrapanie.

Światło... Mrok ustępował przed zrazą, zrazu o świetle mdłym, niejasnym, ledwie dostrzegalnym. W dali słychać przytłumiony huk armat. Dzień z wolna zaczął się wychylać. Spoza lasu ukazały się jasnoczerwone promienie. Na tym tle widać białe dymy rozrywających się szrapneli. Białe opary, leżące na łakach i polach, podnoszą się w górę, odsłaniając pomarszczone oblicze ziemi. Cicho wokół. Wszyscy śpią.

**18 SIERPNIĄ, ZA OSTOWEM.** Brodzimy, chodzimy, odpoczywamy. Z lasu owego ruszyliśmy tegim marszem. Cudne podłoże złożyło się w świetle słońca. Miękkie mchy tułyły się do ziemi jakby w strachu przed wrogiem. Kolumna nasza wydłużała się. Czoło jej sięgabo już Ostowa, gdzie zatrzymujemy się potem na odpoczynek. Słońce już zaszło, choć widno jeszcze i gwiazd nie widać. Zaczyna mrok zapadać, zapalają się gwiazdy na niebie. Widać też srebrno-złote smugi spadających gwiazd. Rozłożyliśmy się obozem przed samą wsią. Z dala widać szopy czy stodoly. Ten i ów pokrępa się prowiantami, inni gwarzą. Ja rozmawiam z Zadrożnym i Wenclem.

— Zaspiewajmy co piano — zaproponowałem.

— Dobrze, zaczynamy — rozległo się wokół. I wśród ciszy nocnej rozległ się poważny śpiew. Smętne pieśni leciały jedna za drugą. Harcerze się spisywali. Przyłączył się do nas potem profesor Brudera z Opatowa, który przyciągnął z wychowanekami do warszawskiej cytadeli. Ktoś w końcu wyrwał się z deklaracjami. Ot, i wieczór wokalny. Posypaliśmy się wspomnieniami. Na zakończenie śpiewaliśmy „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”

Gwar zaczął potem cichnąć, gasnąć. Sen przeleciał nad kompanią. Cisza i ciemność przykryła nas całunem. Zasnąłem i ja, aby marzyć o domu. Ktoś mnie wita, ktoś żegna...

— Wstawać, odmasz...

**19 SIERPNIĄ.** Jesteśmy już drugi dzień w marszu. Czuję się niezmiernie zmęczony. Ledwie nogi ciągnę za sobą. Mam półgodzinny odpoczynek. Co za radość! Z rozkoszą kładziemy się w cieniu drzew, z nogami „na drzewach”. Teraz dopiero poczułem, co to jest wojsko i jakie wygody w nim. Wprawdzie byłem na to przygotowany, dlatego nie czuję się rozczarowany. Dodaje otuchy fakt, że gonimy bolszewików, że pędzimy ich przed sobą. Oparli się za Bagiem... I tam pójdzie-

my. Może z czasem przyzwyczaję się do tych trudów. Dziś chodzę zgięty w palak. I karabin mi ciąży i chlebak z kulami, i wszystkie szmaty, jakie mam na sobie. Pokraka!

**22 SIERPNIĄ.** Przeszliśmy Bug. Jesteśmy w marszu na Ostrołękę. Dziś zdobyliśmy Rogowo, Gniazdowo, Gniadów. Trzydni i noce bez przerwy w marszu. Brz! Nogi mi popuchły, odparzenia zwały się w jedną, sącząca ranę, dostałem kaszlu, kataru i chrypki. W piątek czułem się tak podle, że omal nie padłem w szeregu. Kotliński i Kodracki prowadzili mnie pod ramię. Na prośbę, by mnie wzięto na wóz, jakiś porucznik oświadczył: „Niech zdycha”. Ogólne zgorznienie, a mnie żalność ogarnęła i lzy mi omal ciurkiem z oczu nie poleciały.

Pod Gniazdowem szliśmy do ataku na bagnety. A to było tak: Kompania nasza szła pierwsza szosą, minęliśmy jakiś las, a po lewej stronie w dole łąka, błota, wieś. Na horyzoncie widać ciekawą wozy bolszewickie. Długi tabor. W wiosce kręca się jeszcze bolszewicy. Kompania dostała rozkaz, aby przyspać na szosie, dopóki nie nadsięgną inne. Tymczasem zjawily się połowe armaty, jedną ustawili tuż, tuż. Ciekawością zdjęty, przybliżyłem się do armaty, którą w tym czasie zamykano. Huk się rozległ, ja padłem na ziemię jak długi, impet mnie przewalił. Pomacałem się tylko, czy jestem cały, co głośno oświadczyłem ku uciesze towarzyszy broni.

Jakoś celnie ten artylerzysta strzela! Niech go kule biją! Patrzyliśmy na tabory i za każdym strzałem wozy, konie, wszystko leciało w górę. Dzika satysfakcja.

— Powstań! — padł rozkaz. — Bagnet na broń!

Pomacałem się po chlebaku, czy mam dosyć kul. Nasadziłem bagnet. Chyłkiem po sklonie wzgórza zesłaliśmy na łąkę i w tyralierze sunęli ku wsi. Kule zaczęły świstać.

Biegiem, biegiem. Beładnie zaczęliśmy strzelać, gdzie popadło. Tylko świństwo. Wkrótce skończyła się łąka, a zaczął teren bagnisty. Ugrzęzłem: na przód po kolana, potem po pas, w końcu utkwilem w błocie po pachy, ramiona bezradnie położyłem na błocie — czekałem zmiłowania Bożego. Kule gwizdały mi nad głową. Pomny na przestrogi, że nie te zabijają, które świszczą, nie ruszałem się wcale. O kilka kroków ode mnie utknął jakiś stary wiarus. I stękamy razem. Ani nogą ruszyć! Rozpacz mnie w końcu ogarnęła. Zacząłem modlić się i parskać złością na przemian.

W końcu zrobiłem jeden ruch nogą i trafiłem na coś twardszego; podparłem się, ręką uchwyciłem pęk siwotia i wylazłem. Nic mnie już nawet świst kul nie obchodził. Jedną tylko radość w sercu dźwięczała: nie utonąłem. Pomogłem sąsiadowi wyleźć z błota i ruszyliśmy ku wsi. Towarzysze tymczasem dobiegali pierwszych chat. Rozległy się krzyki, łomot, padło jeszcze kilkadziesiąt strzałów i — nim dobiegliśmy — ucichło wszystko. Bolszewicy wylazili z różnych zakamarków z podniesionymi rękoma. Poddawali się. Zagarnęliśmy część taborów i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Nad Narwią. I tu przybyliśmy. U stóp naszych płynię rzeka. Po drugiej stronie widać las, spowity w mgły. Niebo zasnuwane chmurami postrzępionymi. Mrok już zapada. Jesteśmy zmęczeni, ale weseli. Słychać pieśń: „Za Niemen, za Niemen...” Miła chwila.

Czytaliśmy kawałek gazety. Wiadomości zewsząd dobre. Podobno dwie armie bolszewickie zostały otoczone i przyparte do pruskiej granicy.

(Dokończenie nastąpi)

## LISTY

### W sprawie KOP

Od marca br. działa w Wytycznej (gm. Urszulin, woj. chełmskie) Komitet Uczczenia Pięćdziesięciole-

cia Bitwy pod Wytyczną, stoczony tam 1 października 1939 r. przez dowodzone przez gen. W. Ruckmana-Orlika wojska Korpusu Ochrony Pogranicza z radziecką Armią Czerwoną. Staraniem Komitetu obok miejsca wiecznego spoczynku około stu poległych i zamordowanych żołnierzy i oficerów KOP usypany został Kopiec Żołnierskiej Chwały, na którym stanąć miał stałowy krzyż oraz urna z ziemią z poboju KOP i z mogił katyńskich. Kopiec został po dwóch tygodniach — 29 czerwca br. — bar-

barzyńsko zniszczony; zrównano go z ziemią przy pomocy sypchacza.

Zanim sprawa ta zostanie wyjaśniona, Komitet zwraca się do młodzieży, szczególnie harcerskiej i obojętnej społeczność o pomoc w usypaniu nowego kopca. Chętni do pracy przy odbudowie kopca proszeni są o kontaktowanie się z proboszczem parafii w Wytycznej, ks. Waldemarem Izdebskim (tel. Urszulin 76).

Jednocześnie prosimy o listowny kontakt dawnych żołnierzy i ofice-

row KOP, uczestników walk z Armią Czerwoną w 1939 r. oraz rodziny poległych w 1939 r. i zamordowanych żołnierzy i oficerów KOP. Zainteresowanym przekazane zostaną szczegółowe informacje o uroczystościach, jakie odbędą się w Wytycznej w 50. rocznicę bitwy.

W imieniu Komitetu Uczczenia Pięćdziesięciolecia Bitwy pod Wytyczną  
inż. Zbigniew Muszyński  
Lublin  
red. Wojciech Ziemiński  
Warszawa

**O**D Konstantynowa jedziemy już we trzech; co jakiś czas przypominamy sformułowania XVII-wiecznego memuarysty, dogadując swoje, utrzymując w stylu dialogi i zaśmiewając się.

Przez Sarnaki przeskakujemy. W 1813 roku wieś spustoszyły oddziały Napoleona, cofające się spod Moskwy. W czasie ostatniej wojny w pobliżu eksplodowały rakiety V-2, których resztki zbierali partyzanci AK w celu rozpoznania nowej broni.

Dojeżdżamy do Bugu; okolica mocniej faluje, więcej lasów. Za Kózkami skręcamy w lewo, zostawiając Siemiatycze. Mimo że Drohiczyn nie po drodze, chcemy obejrzeć czwarte miasto koronacyjne Polski. Po lewej, od czasu do czasu, odstania się widok na zieloną, mięsistą dolinę Bugu. Przed samym miastem ocieranie „czegoś” w osi tylnego koła mojego „Waganta” staje się na tyle uprzykrzone, że decydujemy się na błyskawiczny vagant-service. Konkluzja ta sama, co przed rokiem: projekt dobry, robota wykonana przez bydgoski „Romet” niechlujna. W pół godziny rozkręcamy, przesmarowujemy, Marek wykonuje coś w rodzaju sprężyny podtrzymującej tuleję. Rama roweru na pewno krzywa, wszystko wskazuje, że oś także. Zakręcamy i jazda!

Paweł Jasienica! Dodatkowe trzydzieści kilometrów w nogi z powodu płomiennego zapisywania historii. Na Drohiczyn szykowałem się od początku podróży. Terlecki, odrobinę markotny z powodu tych kilometrów, rozjaśnia się podczas przejażdżki wąskimi uliczkami:

— Ładne miasto! Przypomina Sandomierz.

Czerwone czapy domów na wzgórzach, w dole soczyste płaty zieleni; Sandomierz jest bardziej zwarty, schludny; Drohiczyn jakby rozczłapany, drobniutki, ale ślady wielkiej przeszłości odcisnęły, czuje się dawną świętość. Legendarna stolica Jaćwieży — okolica usiana kurhanami pochodzącymi z VII—IX wieku, w rzeczywistości miejsce koncentracji wojsk mazowieckich i ruskich przed wyprawami na Rajgród, który był faktycznym grodem stołecznym Jaćwingów; centralny ośrodek ruskiego księstwa drohickiego, następnie ziem nadanych przez Konrada Mazowieckiego zakonowi braci dobroczyńskich w 1237 roku; wreszcie — co chyba najciekawsze — stolica Rusi Halicko-Wołyńskiej, w której Daniel Romanowicz, książę włodzimiersko-halicki, koronował się na króla (1253).

Jak zwykle bywa z państewkami satelitarnymi, tak i to zostało podzielone pomiędzy silniejsze — Koronę i Litwę, będąc nawet przez pewien czas pod władaniem księcia mazowieckiego Bolesława Jerzego. Koniunktura przyszła po unii polsko-litewskiej, miasto zostało stolicą Ziemi Drohickiej, a następnie województwa podlaskiego (1520), aż do rozbiorów, które podzieliły je na część lewobrzezną, należącą do Austrii i prawobrzezną — do Prus. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego podział nadal się utrzymał, by zaowocować zmianą nazewnictwa; od roku 1863 były już dwa Drohiczy: Ruski (lewobrzeżny) i Łacki, po przeciwnej stronie rzeki.

Miasto pełne jest zakamarków, enklaw, które stanowią: kościół katedralny, wybudowany na miejscu koronacyjnego, wraz z kompleksem budynków po klasztorze i kolegium jezuitów; kościół i klasztor franciszkanów; kościół benedyktynów oraz dawne grodzisko usytuowane na stromiznie, opadającej wprost do Bugu, który tutaj się zalamuje. Zadrzewiony, zabudowany byle jak rynek stwarza wrażenie beznadziejności, jedynie jego rozmiary świadczą o dawnej zamożności miasta. Z pięciu cerkwi ocalała tylko jedna, kościoły miały więcej szczęścia; wielokrotnie burzone, rozbierane, przebudowywane — dotrwały w pełnej liczbie. Fara — jak podpowiada przewodnik — z „elementami bebstylowymi”. Co to może znaczyć? W swojej czystości architektonicznej wnętrza przypominają zamojską kolegiatę — podobne proporcje, kształt i umiejscowienie kolumn, oddzielających nawy boczne.

Miasto, kołysane nostalgią minionego, jakby czekało, pod płaszczykiem barw i spokoju „Zda mi się, iakbych słyszał skargi / Płatnerki piękney — gdzie te czasy!”.

„Gdzie są te święte apostoły,  
Ubrane w alby, strojne w mitry  
Y opasane w święte stuly,

...  
Gdzie ich dworzaków ciżba płocha,  
Heroldy, dworki, darmożreie?  
Małoż napchali do bandziocha?...  
Hey, iak ten wichr, co w polu  
wieie...”

Z zamkowej góry długo kontemplujemy Bug i lasy z nim. Może na przekór przekazom, tutaj jednak Daniela koronował Opison, legat Innocentego IV? Niezwykle barwne legendy wiążą się z tym miejscem; według jednej — tu pochowany jest w złotej trumnie Kumat, wódz Jaćwingów, który poległ w 1264 roku. Górę mieli jakoby usypać jeńcy. Inna, przypominająca jedno z podań tatrzańskich — co może wiązać się z powstaniem obu w tym samym czasie — mówi o rozstępującej się górze i wypływającej w łodziach, raz na sto lat, zbrojnej drużynie, która musi wrócić na miejsce spoczynku przed świtem. Jeden z wójtów, olśniony urodą drohiczanki, przegapił moment powrotu i tuła się do

— Powinno się jechać tyle, ile się ujedzie. Spokojnie.

Zasypiamy szybko.

## DZIEŃ IX

Budzi nas soczyste słońce, jest mroko, ale ciepło. Po podwórku krząta się młoda kobieta.

— A gdzie mężczyźni?

— Pojechali do roboty.

— W polu.

— Nie, do bazy. Pracują jako kierowcy.

Kilka kilometrów asfaltu i skręcamy na północ w boczną, brukowaną kocimi łbami drogę. Pustkowie. Mijane chałupy, wioski zapomniane przez ludzi i Boga; gdyby nie sporadycznie spotykane samochody, sprzęt rolniczy, nikt by nie powiedział, że wiek XX ma się ku końcowi. Zebrać te drobne rekwizyty, a bez trudu przeniesiemy się o wiek, półtora do tyłu. Smakujemy piaseczki, prawosławne krzyże przy drogach, sosnowe zagajniki, no i kocie łby, na których głowa dzwoni sobie, a zęby sobie. Te-

— W takim stroju nie wpuszczamy.

Obaj jesteście w krótkich majtkach. Inne, nie mniej ładne szorują coś w białych miskach na ziemi. Tyłki ostro tryskają z obfitych falban. Świętość świętością, a natura wie swoje:

— Uwiesić by z jedną, ze dwie...

I już uciekamy do przedsionka cerkwi, zaczyna lać! Terlecki wyjmuję śpiwór, odpoczywa na podłodze:

— Jak tam nasz przyjaciel Pasek?

— Tnie przez jagody!

— No to śpię.

I śpi! Ileż można wylegiwać się... Wciąż pada. Odczytuję informację na drzwiach: 1. „Wchodzić do cerkwi z bojaźnią Bożą”.

— Dlaczego mam się bać Boga — budzi się Marek. — Nic nie mam na sumieniu!

— Bóg to przyjaciel, to najlepszy kumpel, któremu — tylko jemu! — powiesz wszystko. Jak u starożytnych Greków: nawet pokłócić się z Nim można — odpowiadam.

„2. Zachować ciszę i i nie rozmawiać. Ostatnie dwa wyrazy podkreślone.

# Z BIEGIEM BUGU

Adam W. Kulik

dziś po nadbużańskich łąkach. W każdej legendzie jest ziarno prawdy; trudno uwierzyć w rozstępującą się ścianę zamczyska, ale, być może, podczas wędrówek ludów, jakie oglądała Europa w IV—VI wieku, któryś z plemiennych wodzów spoczął pod kurhanem, pochowany z całym przepychem, o jakim od czasu do czasu mówią wykopaliska.

— Trzeba tu kiedyś wrócić — mówi Marek. I to wystarczy za wszystko.

Zwijamy się, zza rzeki wypelza granatowo-czarna chmura. Pedalujemy wściekle, uciekając na wschód, koło Siemiatycz łapie nas deszcz. Ponownie rezygnujemy ze zwiedzenia miasta, musimy dojechać możliwie najbliżej Grabarki, drugiego świętego miejsca prawosławnych w Polsce. Po kilku kilometrach mamy dosyć; żeby choć byle szopa, a tu nic. Las się kończy, kilka zabudowań, na tablicy drogowej napis Anusin, dalej nie pojedziemy.

Ludzie niechętnie, ale wpuszczają do stodoły. Nie zdążyłem zrzucić przemoczonego ubrania, kiedy wpada trzech „chłopaków” po czterdziestce. A co, a jak, po co? Wpuścili — mają prawo wiedzieć; doskonale obeznani z „określonymi” sytuacjami, proszą o dowody. Ani chybi kierowcy, tylko skąd w zagubionej wioszczynie tyłu naraż? Daję dowód.

— Nazwisko jakies znane... — mówi jeden.

— Może czytał pan którąś z moich książek?

— Być może... — Patrzą po sobie. Wiem, że to bajer.

— Mój kolega jest artystą plastykiem — prezentuje.

Od kolegi dowodu już nie potrzebują. Prosimy o wrzątek. Zamiast niego gospodyni przynosi gorący kompot. Siedzą, popatrując, jak szykujemy kolację, po czym dyskretnie wychodzą. My rozmawiamy:

— Przyzwocić ludzie.

— Nie lubię wytyczania etapów, zawsze pod wieczór trzeba gnać.

— Zauważyłeś, że od samego początku nie dojeżdżamy? Co wieczór brakuje paru kilometrów.

lepiemy się dobrych kilkanaście kilometrów, zanim pojawi się żwirówka.

Pytamy o cerkiew i klasztor. Okazuje się, przejechaliśmy; zawracamy w polną drogę między laskiem sosnowym na pagórku a olszynką okalającą strumień w dole. Dojeżdżamy do źródła; ocembrowane, otoczone wielobokiem płotu, który wieńczy daszek. Na podtrzymujących słupach święte obrazki, ikony, a więc rodzaj kaplicy, analogicznie jak w Jabłecznej. Patrzymy na rozpinającą się od strugi górę z lasem krzyży i cerkwią na szczycie, ale zostajemy na dole, przedłużając chwilę oczekiwania — tak nęci bardziej. Obmywamy ręce, szukamy kamyków, sami w głuszy.

Przychodzi pora. Wygolona gładko od strony źródła góra, z rosnącymi rzadko pojedynczymi sosnami, przechodzi u wierzchołka w wieńiec krzyży o szerokości od 4 do 5 metrów z lewej, do 20—25 z prawej. Wewnątrz wieńca XIX-wieczna, drewniana cerkiew. Są krzyże, stare, kilkudziesięcioletnie, ale i zupełnie nowe, sprzed roku, dwóch lat — ostatnie w Europie miejsce zgromadzeń pokutników-krzyżowców! (O ile na bezdrożach Hiszpanii lub Sycylii nie zachowały się podobne). Nie potrzebują zamykać oczu, by zobaczyć procesyjny tłum z pochodniami, dzwigający i zakopujący w sierpniową noc pokutne i wotywny znaki w kłębach kadzieli i tajemniczych, szarpących duszę śpiewów cerkiewnych.

Chwila tężeje, obchodzimy chram powoli, najwolniej jak tylko się da, chłonąc, usiłując zbliżyć się do jego tajemnicy. Na długo przed Grabarką chłopakie rozprowadzanie niosło, że sosny okalające święte miejsce, pochylają się koronami do środka, jakby składając ukłony. Nie jesteśmy pewni. Wśród krzyży ścieżka do klasztoru; wewnątrz jego zabudowań, przypominających zwykły, szalowany dom z gankiem, znajduje się druga cerkiew. Wchodzimy po schodkach. Młode, swobodne w obejściu dziewczyny w niczym nie przypominają „naszych” zakonnice.

— Ale ładne siostrzyczki! — Marka „dzień dobry” było szybsze niż moje.

— Czy mogliśmy zwiedzić cerkiew?

Skomplementowana siostrzyczka odpowiada z szerokim uśmiechem i najczystszy, rosyjskim akcentem:

3. Kobiety i dziewczęta wchodzi do cerkwi z nakrytymi głowami i w żeńskim ubraniu (nie w spodniach).

Więc stąd unikalne połączenie marmurowych rajstap i XIX-wiecznych chustek na głowach.

4. Grzechem jest opuszczać nabożeństwo przed jego zakończeniem, tj. przed błogosławieństwem na wyjście (OTPUSTY).

Błyskotliwa inteligencja kobiecej proweniencji. Co by powiedzieć, dobrze czujemy się w tym miejscu pachnącym średniowieczem — w pozytywnym, ciepłym znaczeniu tego słowa.

Po dwóch godzinach przejaśnia się Druh Marek odzyskuje równowagę duchową:

— Rano piękna pogoda, parno, później deszcz, znowu słońce: Bóg ma w opiece swoich pańników!

Na długim stole-lawie, tuż przy chramie, rozkładamy żywność. Z zapasów został serek topiony, smalec i dżem. Wydawało mi się, że widziałem pieczarki. Robimy obchód — w dolnych partiach stoku zbieramy kilka.

— Jesteśmy stare moczymordy deszczowe, nabieraliśmy pieczarek do chleba z serkiem topionym — wyjaśnia sam sobie ze smutkiem wspomniany druh.

Głodni jemy łapczywie, Marka łapie czkawka. Zły, że opóźnia proces przelykania, parska gniewnie, wali łapą w kark.

— A jak to nie pieczarki?

Patrzy przenikliwie niebieskimi oczami:

— Melduj o kolejnych fazach zatrucia! — I po chwili: — No! Dojechałem, moja podróż tutaj się kończy.

— Marku, proszę, tylko dzień drogi do Puszczy Białowieszczańskiej! Może nigdy nie będzie okazji, żeby tam pojechać, albo za lata całe.

Jeszcze raz daje się namówić. Obchodzimy na pożegnanie świętą górę i sąsiadujący z nią od wschodu kopiec, na którym rosną sadzonki — jeszcze w XIX wieku był tu cmentarz. Żadnego śladu po nim.

(Koniec odc. 7. — cdn.)

# PIELGRZYMKA DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

## Józef Zięba

**W**IELKI plac na wzgórzu Moria, otoczony murem, na którym stała świątynia Salomona, a potem Heroda Wielkiego, jest miejscem świętym mahometan, Żydów i chrześcijan. Poza przestrzeni nie pozostało tu nic po tej wspaniałej budowli. Pobożni Żydzi do dziś ją oplakują i modlą się pod murem okalającym wzgórze, na którym stała, oczekując na przyście Mesjasza.

Po południu odwiedzamy inne miejsce upamiętniające zagładę: Yad Vashem. Jest tam aleja, przy której zasadzono drzewka sprawiedliwych, narażających swoje życie dla ratowania Żydów w czasie okupacji hitlerowskiej. Przed każdym drzewkiem znajduje się tabliczka z nazwiskiem. Dużo jest tu nazwisk polskich, ale jakżeż to niewielka częśćka tych, którzy udzielali w naszym kraju pomocy Żydom. Wielu dzięki temu przetrwało, jak chociażby znany z opublikowanych w „Tygodniku Powszechnym” wspomnień, ksiądz Pawłowski, który przybył z Jaffy i miał z nami w Nowym Domu Polskim spotkanie. Opowiadał o swych okupacyjnych przeżyciach na Lubelszczyźnie i o ludziach, dzięki którym przeżył. Mówił też o swej trudnej pracy duszpasterskiej w Izraelu.

W Yad Vashem znajduje się pomnik Janusza Korczaka i muzeum upamiętniające zagładę sześciu milionów Żydów podczas II wojny światowej. Wielkie wrażenie na zwiedzających wywiera sala poświęcona pamięci wymordowanych dzieci. Wchodzi się do zupełnie ciemnej przestrzeni, w której pali się jedna świeca. Jej płomyk odbija się tysiąckrotnie w rozmieszczonych przymatach czy lustkach. Zwielokrotniony płomyk życia, jakby zawieszony w kosmicznej pustce... Odczytujemy tysiące i tysiące imion i nazwisk zamordowanych dzieci...

Poruszeni wspomnieniem tragicznych dni narodu żydowskiego i naszego z lat okupacji, przenosimy się za progiem w zupełnie inny świat. Świat cudownie rodzącego się życia. Jedziemy do Ain Karem, miejsca nawiedzenia św. Elżbiety. Sięgamy po Ewangelię św. Łukasza: „W tym czasie Maryja wybrała się i poszła z pośpiechem w góry do pewnego miasta w (pokoleniu) Judy”. Pamiętamy scenę powitania i Magnificat.

Kościół Nawiedzenia jest nowy, wzniesiony w 1939 roku według projektu Berluzziego, w miejscu wcześniejszych budowli sakralnych. Zachowuje w swoim wnętrzu ich ocalałe fragmenty. Zdobią go niezbyt udane artystycznie, dewocyjne cukierkowe freski. Na dziedzińcu obok kościoła umieszczono na murze majolikowe tablice z tekstem Magnificat w ponad czterdziestu językach. Zostały ufundowane w roku maryjnym 1954 przez rozproszonych po świecie Polaków. Na jednej z tablic — tekst polski, który odśpiewaliśmy wspólnie. O godzinie siedemnastej, w kościele Nawiedzenia, towarzyszący nam księża odprawili mszę, w czasie której śpiewaliśmy maryjne pieśni.

**N**ASTĘPNEGO dnia bardziej wytrawni turyści wybrali się na całodzienną wycieczkę aż nad Morze Czerwone, do zatoki Aqaba. Pozostali w Jeruzolimie rozpoczęli dzień wczesną mszą, odprawioną w Grobie Chrystusa. Z trudem zmieściło się tu trzech koncelebrujących mszę księży i dwu ściśniętych przy nich wiernych. Pozostali musieli stać na zewnątrz.

Po mszy św. ksiądz Leszek zaprasza do odwiedzenia Starego Domu Polskiego, prowadzonego przez siostry elżbietanki. Dom ten został zakupiony w 1903 roku przez ks. Marcina Pinciurka, w arabskiej dzielnicy Starej Jeruzolimy, w pobliżu Bazyliki Zmartwychwstania. W 1930 roku przekazano go testamentem na własność Episkopatu Polski. W roku następnym ks. kardynał August Hlond powierzył opiekę nad tym Domem siostrzenkom elżbietankom, które do chwili obecnej sprawują nad nim pieczę. Już wówczas był za mały dla przybywających tu coraz liczniej polskich pielgrzymów. W 1934 roku pierwsza przełożona Domu zakupiła poza murami starego miasta parcelę budowlaną pod budowę Nowego Domu Polskiego, który został ukończony i oddany do użytku w 1943 roku, dzięki pomocy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.

Trzecią w Jeruzolimie placówką prowadzoną przez polskie elżbietanki jest sierociniec na Górze Oliwnej o nazwie „Dom Pokoju”. Powstał po „wojnie szesćdziesiątnej”, w wyniku której pozostało wiele bezdomnych i osieroconych arabskich dzieci.

Siostry ze Starego Domu Polskiego nie tylko służą gościnnością polskim pielgrzymom, ale prowadzą również przychodnię lekarską dla ubogiej ludności arabskiej, mieszkającej w najbliższym sąsiedztwie.

Z tarasów i dachu Starego Domu Polskiego oglądaliśmy rozciągającą się stąd piękną panoramę Jeruzolimy. Siostry opowiadały o trudnej, codziennej pracy w miejscowym środowisku. Życzliwość i serdeczność siostrz odczuliśmy i my podczas naszego pobytu.

W następnym dniu jedziemy — przez Cezareę Nadmorską, Górę Karmel, Hajfę — do Nazaretu i Kany Galilejskiej. W Cezarei, dawnym, nieczynnym już dzisiaj porcie, odkryto tablicę z wypisanym nazwiskiem Poncjusza Pilata. Odrorestaurowano tu starożytny amfiteatr i zrekonstruowano mury budowli z czasów krzyżowców.

Na Górze Karmel sanktuarium Stella Maris i klasztor karmelitów. Pod prezbiterium kościoła znajduje się grotta Eliasza, w której według tradycji miał mieszkać prorok.

Głównym celem naszej wyprawy był Nazaret z Grotą Zwiastowania. Grotę przykrywa obecnie współczesna, zaprojektowana przez architekta Giovanni Muzio, konsekrowana w 1969 roku, bazylika. Chroni ona nie tylko grotę, ale i pozostałości wznoszonych tu w różnych wiekach budowli sakralnych. Zbudowana została na dwóch poziomach. W dolnym kościele znajduje się Grotta Zwiastowania. Na ścianach górnego — rozmieszczono mozaiki i obrazy, będące darem poszczególnych narodów. Jest i obraz polski, wykonany z ceramiki. Przedstawia Matkę Boską Częstochowską, a u Jej stóp Mieszka I z Dąbrowką, biskupa Jordana i żołnierzy polskich w historycznych strojach.

W bazylice spotykamy brata franciszkanina, Polaka. Kilka osób rozpoznaje w nim znajomego z klasztoru spod Wiednia. Tam go spotkali, powracając z Lourdes, z pielgrzymki Duszpasterstwa Środowisk Twórczych. Wybierał się wówczas do Ziemi Świętej, ale jeszcze nie wiedział, gdzie będzie pracował. Cieszymy się z tego nieoczekiwanego spotkania.

W Kanie Galilejskiej — dla upamiętnienia pierwszego cudu Chrystusa — kupujemy wino. Cud „żywi” jeszcze i dziś mieszkańców tego niewielkiego miasta.

Wieczorem w drodze powrotnej mijamy odmurowany obóz więzionych Arabów i kolumnę czołgów na wielkich transportowych platformach. Przypominają nam one, że i dziś w Ziemi Świętej spokoju nie ma.

**W**PIĄTEK, 27 maja, przed południem wyruszyliśmy autokarem do franciszkańskiego Emaus. Po drodze zatrzymujemy się na górze, na której, według tradycji, znajduje się grób Samuela. Podziwiamy stąd piękne krajobrazy.

W Emaus wita nas ojciec Augustyn Szymański, „franciszkański patriarcha Ziemi Świętej”, jak go nazywają przyjaciele. W „patriarsze” tym (z okazałą, długą, i siwą już, franciszkańską, brodą) rozpoznaję swego kolegę z gimnazjum im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie. Był to jeden z najbardziej energicznych chłopaków w całej szkole, towarzyski i lubiany. Starszy profesorowie do dziś jeszcze wspominają, jak w szaleńczym ślizgu zjeżdżał na dół z drugiego piętra po poręczach schodów. Wstąpił do franciszkańskiego nowicjatu po „małej” maturze, wzbudzając zdziwienie wśród kolegów i profesorów.

Zawędrował do Emaus. Jest przełożonym miejscowego niewielkiego klasztoru. Ma tu też swój mały zwierzynek, złożony z ziół, korólików i gazeli. Z wielką serdecznością przyjmuje wszystkich gości. Rodaków traktuje w sposób szczególny, okazując staropolską gościnność. Podczas ofiarowania wnosi na ołtarz wielką tacę okrągłych arabskich chlebików. W czasie dzielenia takiego chleba w Emaus, uczniowie rozpoznali Chrystusa.

Po mszy ojciec Augustyn zaprasza wszystkich do klasztornej refektarza, serdecznie gości winem i lamanym chlebem. Niestety, wkrótce musimy wracać do Jeruzolimy, do swojego Domu, by się nie spóźnić na przygotowany przez siostry obiad.

Po południu uczestniczymy w Drodze Krzyżowej. Rozpoczyna się ona od huków Ecce Homo i prowadzi wąskimi uliczkami starego miasta. Cztery ostatnie stacje znajdują się w Bazylice Zmartwychwstania. Niezwykła to droga. Nie przypomina dróg krzyżowych odprawianych w polskich kościołach. Procesja przechodzi ruchliwymi ulicami arabskiej dzielnicy, obok sprzedawców i przechodniów. Przy pierwszej stacji zagłusza wszystko spotęgowany przez głośniki śpiew muzyczna. Miejski harmider i hałas nie pozwalają w pełni przeżyć Via Dolorosa.

Po odbyciu Drogi Krzyżowej zatrzymujemy się na placu przed Bazyliką Zmartwychwstania. Skupiają się przy nas rozgoryczeni uczestnicy orbisowskiej wycieczki do Kairu i Jeruzolimy. Na poznanie Ziemi Świętej mają tylko trzy dni i niezbyt zorientowanego w mieście przewodnika, a chcieliby w tym czasie odwiedzić wszystkie znane z Ewangelii miejsca.

**P**OJAWIA się też wśród nas pani prof. Irena Sławińska, która przyjechała samolotem do Jeruzolimy poprzedniego dnia, zaproszona przez Uniwersytet Hebrajski w Jeruzolimie, z odczytem na organizowaną tu międzynarodową sesję teatrolologiczną. Przyłącza się do nas. Ma jednak niewiele czasu, gdyż zaproszona jest przez znajomą rodzimą profesorką na kolację. Przed rozpoczęciem szabasu ma się z nimi spotkać. Od Soiany Placzu przez Bramę Damascencką odprowadzamy panią profesor w stronę hotelu. Umawiamy się na dzień następny, na mszy w Bazylice Narodów w Ogrodzie Getsemani. Mimo odbytej przed kilku miesiącami poważnej operacji stawu biodrowego, dotiera do Ogrodu Oliwnego jak prawdziwa pątniczka, piechotą. Trochę zawstydzeni tłumaczymy się, że musieliśmy skorzystać z miejskiego autobusu, który dowiózł nas na szczyt Góry Oliwnej.

Przed mszą, wyznaczoną na godzinę dziesiątą, odwiedziliśmy sanktuarium Wniebowstąpienia, przemienione w XII wieku na meczet, kościół „Ojciec Nasz” wzniesiony w miejscu, gdzie Jezus miał nauczyć swoich uczniów tej modlitwy. W krużgankach kościoła umieszczono tekst Modlitwy Pańskiej w kilkudziesięciu językach na majolikowych tablicach. Tablica z tekstem polskim została ufundowana w 1943 roku przez żołnierzy polskich 8 Brygady Strzelców.

Schodząc do Bazyliki Narodów w Ogrodzie Getsemani, wstępujemy jeszcze do kaplicy „Dominus Flavit” („Pan Zapłakał”), wzniesionej w 1891 roku na pamiątkę placzu Chrystusa nad Świętym Miastem.

Bazylika Narodów, konsekrowana w 1924 roku, została ufundowana przez mieszkańców wielu krajów (dary), stąd jej obecna nazwa. Wzniesiono ją niemal w tym samym miejscu, gdzie stała ufundowana w IV wieku bazylika Teodozjusza i kościół krzyżowców. Plany tych budowli i ich szczątki zostały ujawnione przez prowadzone tu wykopaliska. Przed głównym ołtarzem pozostawiono odsłoniętą Skalę Agonii, na której modlił się, prosząc o oddalenie kielicha męci, Jezus Chrystus.

Obok bazyliki, w ogrodzie, rosną wielkie, częściowo wypróchniałe tysiącletnie drzewa oliwne. Korzeniami swymi sięgają czasów Ewangelii.

W drodze powrotnej z Góry Oliwnej zatrzymujemy się w krypcie kościoła Wniebowstąpienia NMP, pozostającego obecnie w dyspozycji prawosławnych Greków. Schodzimy po szesnastu schodach do kaplicy, gdzie — według tradycji i najstarszych apokryfów — znajduje się pusty grób Matki Boskiej.

Tego samego dnia, po obiedzie, zwiedzamy Muzeum Studium Biblijnego Franciszkanów, w którym zgromadzono i wyeksponowano bardzo interesujące i bogate zbiory archeologiczne oraz monety z wykopalisk franciszkańskich. Na ich podstawie wyjaśniono już wiele szczegółów dotyczących miejsc znanych z Ewangelii oraz wznoszonych na tych miejscach budowli sakralnych.

**K**ONIEC naszej pielgrzymki i pobytu w Ziemi Świętej. W ostatnim dniu, w niedzielę 29 maja, uczestniczymy w mszy na Kalwarii.

Na Kalwarię wchodzi się z Bazyliki Zmartwychwstania. Po prawej stronie od wejścia schody prowadzą na szczyt wzniesienia, znajdującego się około 5 metrów powyżej posiadki Bazyliki.

„Dwa filary dzielą sanktuarium na dwie kaplice. Prawa należy do franciszkanów — tu została odprawiona msza. Lewa do prawosławnych Greków. Pod ich ołtarzem znajduje się miejsce zatknięcia krzyża Jezusa. Przychodziliśmy tu wielokrotnie indywidualnie w wolnych chwilach, by się modlić i rozważać tajemnicę tego miejsca.

Ziemia Święta stała się nam bliska. Ukonkretniły się znane z opisów ewangelicznych zdania, jeszcze raz uświadomiliśmy sobie bolesny fakt rozbicia chrześcijaństwa oraz konieczność zjednoczenia. Podziwialiśmy głęboką wiarę modlących się przy Scianie Placzu Żydów, którzy mimo utraty ojczyzny i wygnania, potrafili zachować swoją religijną i narodową tożsamość. Odkryliśmy w Ziemi Świętej obecność i działalność Polaków, trwałe ślady przebywania tu w czasie wojny polsko-żydowskiej. Ziemia Święta — to nie tylko ojczyzna religijnych przeżyć, ale i korzeni naszej narodowej, przeciw chrześcijańskiej, kultury. To też mogliśmy sobie tam uświadomić.

(Koniec odc. 3 — cdn.)





## ŚWIAT NAPRAWDĘ ŻYDOWSKI



**J**EST w Jerozolimie dzielnica Mea Sharim, co po hebrajsku znaczy: Stu Bram. Jest to zamknięty fragment urbanistyczny, do którego wchodzi się przez bramy. Jest ich dziś mniej niż sto, ale podobno tyle było.

Wchodząc przez jedną z nich z europejskiej ulicy jerozolimskiej, natykasz się na świat wzięty z Martina Bubera, Szolem Alejchema, Isaaca Singera. Świat chasydzki, ortodoksyjny i jak twierdzą mieszkańcy Mea Sharim, jedyny naprawdę żydowski. Mężczyźni chodzą tu w chałatach, kapeluszach, jarmulkach. Pejsate chłopaki ganiają do jesziw (szkół). Trwają dyskusje wyznawców poszczególnych cadyków, którzy dawno już nie żyją, ale ich nauka i sposób wi-

szczenia świata podniecają i wskazują drogę życia

Ortodoksi z dzielnicy Stu Bram nie służą w wojsku, nie uznają państwa Izrael (wedle nich, prawdziwe państwo może tylko nastąpić po końcu świata i powołaniu na nowo do życia prawowiernych), w szabas atakują nawet karetki pogotowia. Żyją w innym wymiarze. Choć może nie tak znowu do końca, skoro dzielnica ta kontroluje znaczną (nikt dobrze nie wie jaką) część produkcji i handlu brylantami. Jedzenie jest tu wyłącznie koszerne, modlitwy częste, studia talmudyczne dokładne. Nie ogląda się telewizji, nie czyta gazet. Społeczność komunikuje się ze sobą poprzez wywiessane affisz.

Przed jedną z bram czytam apel do wchodzących, żeby uszanować odmienną i tradycję. Żeby nosić nakrycie głowy (o dekoltach i mini w ogóle nie ma mowy!), nie nagabywać mieszkańców, nie fotografować, nie przebywać ponad uzasadnioną konieczność.

Mój jerozolimski znajomy Erwin Schenkelbach, artysta fotografik i fotoreporter „Jerusalem Post”, ma jednak w Mea Sharim swoje kontakty, których plon dziś prezentujemy. Także po to, aby przypomnieć świat, który kiedyś był obok nas. W Lublinie, Chełmie, Zamościu, Isibley, Kasimierz nad Wisłą.

Waldemar Piasecki

**Fotografował**  
**Erwin**  
**Schenkelbach**



# NIE BÓJMY SIĘ INTELIGENCJI

Rozmowa z prof. dr. hab. Markiem Kuryłowiczem z Wydziału Prawa UMCS

● Panie profesorze, jest pan człowiekiem szerokich zainteresowań i ogromnej aktywności: naukowcem, działaczem społecznym, członkiem Trybunału Stanu, członkiem centralnych władz SD. Chciałbym w naszej rozmowie możliwie najpełniej pomieścić wszystkie te pańskie pasje. Proponuję wszakże zacząć od „działki” profesjonalnej. Jako znawca prawa rzymskiego i w ogóle przeszłości Rzymu, jak mógłby pan odpowiedzieć na pytanie: po co nam taka zamierzchła, antyczna historia? Czego możemy się z niej nauczyć?

— Gdy pojawia się zagadnienie znaczenia historii, najchętniej odwołuję się do Cicerona. Mówił on o niej jako o nauczycielce życia, ale nie tylko; również jako o świadku czasów, świetle prawdy i żywej pamięci. W tych czterech elementach tkwią właśnie ścisłe związki przeszłości ze współczesnością. Historia jako świadek czasu jest przecież także świadkiem czasów na naszych oczach mijających; jako światło prawdy oświeca prawdę wypracowaną poprzez badania przeszłości, od której nie można się oderwać; jako żywa pamięć obejmuje także naszą własną pamięć, a jako nauczycielka życia ma służyć i służy pomocą w rozwiązywaniu problemów aktualnych. Stąd historia jest ciągle obecna we współczesności.

● A jak ma się do współczesności rzymskie prawo?

— Obrazowo czasem mówię, że cywilizacja europejska opiera się na trzech pagórkach: Akropolu ze sztuką i kulturą Grecji, Golgotcie symbolizującej chrześcijaństwo oraz Kapitolu reprezentującym przede wszystkim kulturę prawną. Właśnie prawo okazało się najbardziej trwałym dziedzictwem Rzymu. Dłaczego? Przyczyn jest wiele, ale jedną wysunąłbym tu na czoło. Otóż prawo rzymskie charakteryzuje daleko idąca zbieżność postulatów prawnych i etycznych. Znane są definicje jurystów rzymskich, określające istotę prawa jako sztukę stosowania tego, co dobre i słuszne, czy ujmujące nakaz: honeste vivere — uczciwie żyć, jako zasadę prawną. A jest to przecież podstawowa przesłanka etyczna.

Owa zbieżność prawa i nakazów moralnych decyduje o szczególnej wartości prawa rzymskiego i o trwałości jego postulatów. Jeśli porówna się współczesną definicję prawa, zwłaszcza jego definicję klasową, zakładającą, że prawo jest zespołem norm wydanych w interesie klasy panującej i zabezpieczonych przymusem państwa, z rzymską definicją prawa jako umiejętności stosowania dobra, słuszności i sprawiedliwości, stanie się jasne, dlaczego to ostatnie prawo okazało się podstawą europejskiej kultury prawnej.

● Czy określone to dotyczy także Polaki?

— Rozwój prawa polskiego jawi się jako dość skomplikowany. Od czasów rozbiorów, kiedy to załamały się zasady prawa rodzimego, nigdy już do nich nie powróciliśmy. W okresie rozbiorów byliśmy pod panowaniem praw obcych, zakorzenionych w tradycji prawa rzymskiego i w rezultacie je zaadaptowaliśmy. W ten sposób weszło do naszego systemu prawo rzymskie. Uprzednio było ono znane, ale nie na tyle recypowane, by można mówić o sięganiu do jego korzeni. M.in. więc poprzez prawo rzymskie znaleźliśmy się w kręgu cywilizacji zachodnioeuropejskiej. (Osobna kwestia to wcześniejsze zasługi chrześcijaństwa w tym zakresie, łącznie z przechowaniem przez Kościół znajomości prawa rzymskiego). Stanowi więc ono także pewien element naszej narodowej tożsamości.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku nastąpiło zderzenie koncepcji nacjonalistycznej i romanistycznej; powstał dylemat, na ile powinniśmy

powrócić do prawa rodzimego, a na ile opierać się na systemem opartym na prawie rzymskim. Elementów tego drugiego nie dało się porzucić i tkwią one do dziś w naszym systemie. Co więcej, uważa się dziś w komparatyście prawniczej, że cechą charakterystyczną systemów prawnych państw socjalistycznych jest ścisły związek historyczny z prawem rzymskim. Dzisiaj powracamy też coraz pełniej do źródeł.

● Zaczynamy porządkować nasz system prawny. Jednym z elementów tego procesu jest także powołanie Trybunału Stanu. Wielu fachowców uważa jednak tę instytucję za faszystowską czy też wręcz niepotrzebną.

— Początki odpowiedzialności osób piastujących władzę sięgają starożytnej Grecji. (W Rzymie każdy polityk ponosił normalną odpowiedzialność karną). W Polsce Ludowej Trybunał Stanu powstał w 1982 roku. U podstaw koncepcji leżały doświadczenia z licznych kryzysów społeczno-politycznych, a także wątpliwości co do faktycznej niezawisłości sądów i autentyczności działań parlamentu. Trybunał Stanu był reakcją społeczeństwa na te doświadczenia. Stał się więc bardziej elementem gwarancji i prewencji, instytucją określającą społeczne zaufanie lub raczej — jego niedostatek do władzy. Ważniejsze niż samo orzekanie (takiej praktyki jeszcze nie ma) jest chyba jego istnienie, świadomość społeczna, że można pociągnąć do odpowiedzialności osoby sprawujące władzę. Trybunał Stanu jest więc ważną cegiełką demokracji. W miarę, jak wzrastać będzie zaufanie społeczeństwa do władzy, jego rola będzie zapewne malała. Być może wówczas stanie się instytucją zbędną. Będzie to jednak zależało od postępów demokracji.

● A postępy demokracji to już polityka. Stronnictwo Demokratyczne, w którego centralnych władzach pan zasiała obudziło się po latach marazmu i wykazuje obecnie sadyściwną aktywność. Co się stało?

— A dlaczego nie odwrócić zagadnienia i spytać, co stało się z prasą, która nagle zaczęła interesować się działalnością Stronnictwa? W przypadku Stronnictwa Demokratycznego nic wielkiego się nie stało. SD wytrwale obstawało przy swoich, lansowanych od lat postulatach. Teraz może tylko z satysfakcją odnotować, że koncepcje te zostały zrealizowane i że w istocie zawsze wyprzedzały one aktualnie dokonujące się przemiany. Trybunał Konstytucyjny sugerowało jeszcze SD przedwojenne. Trybunał Stanu, sądy administracyjne, urząd prezydenta — Stronnictwo powojenne, zwłaszcza po 56 roku.

● Wydaje mi się jednak, że SD nie było wcale partią tak szeroko aprobowaną społecznie i że dopiero obecnie pojawiają się nowe elementy zwiększające jego wiarygodność, jak choćby nowe spojrzenie na dotychczasową koalicję.

— Brakowało naszej partii umiejętności mówienia pełnym głosem, akcentowania jasno swoich postaw. Wiele koncepcji oddawało Stronnictwo na rzecz koalicji, szereg idei pojawiał się więc pod innym szyldem i dopiero obecnie możemy upomnieć się o należne nam prawa autorskie. Dziś Stronnictwo jest, moim zdaniem, motorem w nowym kształtowaniu umowy koalicyjnej, w oparciu jej o zasady merytoryczne, a nie formalne. Widać to choćby w regulaminach klubów poselskich (rozluźnienie dyscypliny głosowania) czy w możliwości formowania doraźnych sojuszy. W rezultacie tych działań sytuacja zarówno na forum parlamentu, jak i wśród partii politycznych znacznie się skomplikowała. Wytworzył się stan chwilowej równowagi, dalekiej od zakładanego przy Okrągłym Stole podziału mandatów 65—35 proc. Znalazło to swój wyraz choćby przy wyborze prezydenta.

Trudno przewidzieć, jak dalej rozwinię się sytuacja, sądząc jednak, że ustawa o partiach politycznych (a SD będzie chciało wystąpić tu z własnym projektem) spowoduje dość istotne przetasowania na polskiej scenie politycznej. W samym Stronnictwie istnieje także duża polaryzacja opinii. Na ostatnim kongresie na przykład pojawił się postulat zmiany nazwy partii. Nie chodzi tu o czczą kosmetykę. Uważa się, że SD z dawną nazwą zamknęłoby jakiś okres, nazwiemy go — okresem systemu stałnowskiego i rozpoczęło nową jakościowo erę. Ostateczne rozstrzygnięcie w tej sprawie przyniesie referendum rozpisane wśród wszystkich członków Stronnictwa. Nie ukrywam obaw, że w miarę równomiernie siły opowiadające się „za” i „przeciw” mogą doprowadzić do rozłamu w partii. Nie wiem, czy byłoby to korzystne. Trzeba bowiem pamiętać, że SD jest jedyną partią, która od okresu międzywojennego nie zmieniała nazwy i nie miała żadnych kongresów zjednoczeniowych.

● SD było też jedyną partią, która w momencie kryzysu prezydenckiego zgłosiła gotowość przedstawienia własnej kandydatury.

— Różnie to zostało ocenione, ale ja widziałbym w tym dowód na poważne traktowanie przez SD spraw państwa. Pat w kwestii prezydentury groził kryzysem państwowym o implikacjach międzynarodowych. Była to więc próba ratowania sytuacji. Stronnictwo poczuwa się aresztą do obywateli instytucji prezydenta, jest więc w naturalny sposób za tę instytucję odpowiedzialne.

● SD jest partią głównie inteligencji. Jak może pan — profesor uniwersytetu — funkcjonować w systemie, który materialnie szacuje pańską pracę niż pracę niewykwalifikowanego robotnika? Czy reformy nie powinniśmy zacząć od właściwego ustawienia proporcji płac? To przecież elity, a nie masy, są motorem postępu.

— Stawiając w ten sposób problem, zakłada pan powrót do „ręcznego sterowania”. Tymczasem taka sytuacja powinna być wytworem naturalnych układów. Prawdą jest, że zbieramy obecnie owoce poglądu, iż liczy się tylko aktywność manualna, że lepszą przyszłość można wykuwać jedynie kilofem czy łopatą. Nazwałbym to syndromem wymiernego efektu produkcji. W takim sensie na przykład wykład uniwersytecki nie da się oszacować. Podobne myślenie doprowadziło niewątpliwie do pauperyzacji inteligencji, do niedoceniań jej wkładu w rozwój kraju. Mimo to zachowała ona jednak swoje ważne miejsce w państwie. W miarę skutecznego oparcia się procesowi „urawniłowki”. Wartości intelektualne nadal zajmują ważne miejsce w świadomości Polaków.

Opóźniecie jestem zwolennikiem społecznego podziału pracy. Denerwują mnie stwierdzenia, że mogę sam naprawić sobie samochód czy sam wyremontować mieszkanie. Moim zadaniem jest praca naukowa, dydaktyczna i publicystyczna. Za uzyskane stąd wynagrodzenie powinienem być w stanie opłacić mechanika czy malarza. Nieforty działania zakłócające ten naturalny podział funkcji są nadal żywe. Prozę zauważyć, że przy Okrągłym Stole nie podejmowano tematów nauki, kultury czy życia intelektualnego. Nadal więc trzymamy się kurczowo zasady: „był określa świadomość”. Są to zjawiska niepokojące. Sądzę, że nadszedł już czas, by wyłożyć się podejrzliwości i uprzedzeń wobec inteligencji. To, że jest ona klasą demagogującą się większej demokracji, postępu, kultury, nie zadowalającą się jedynie sferą doznań konsumpcyjnych, stanowi naprawdę pozytyw a nie zagrożenie.

● Dziękuję panu bardzo za rozmowę.

Rozmawiał: Wiesław Horabik

## LISTY

Przyczyny polskiego kryzysu

W waszym czasopiśmie zachęcaście czytelników do wypowiedzi swoich spostrzeżeń, postanowiłem zatem napisać, co najbardziej mnie irytuje. Dotyczy to obecnej sytuacji ekonomicznej i inflacji. Problem ten w środkach masowego przekazu przedstawiany jest w sposób kłamliwy i dziwi mnie, że osoby kompetentne nie widzą rzeczywistych przyczyn tego „kryzysu”. Piszę w cudzysłowie, ponieważ to nie jest kryzys, lecz wynik rabunkowej gospodarki.

Każdemu wiadomo, że w krajach opływanych przez nasz system pracownik za godzinę pracy może kupić od 10 do 30 razy więcej towaru niż nasz pracownik za tę samą pracę i co ciekawsze — towarów jest w bród. Na tym zarabia państwo, mimo nieporównalnie niższych podatków, jak również bogaci się kapitalista.

Te różnice zmuszają do logicznego myślenia, dlaczego tak się dzieje? Na podstawie dokonywanych spostrzeżeń oraz „przebiegów” w prasie, radiu i TV wynika, że stan choroby naszej gospodarki bierze się między innymi z następujących przyczyn:

1. Bezpośrednie lub pośrednie udzielanie „internacjonalistycznej pomocy” innym krajom i organizacjom.

2. Nickorzystne lub wręcz wyniszczające naszą gospodarkę zagraniczne transakcje handlowe, które oficjalnie nazywa się jako bardzo korzystne. Jednym z setek przykładów może być sprzedaż naszych „maluchów” w Anglii. Jak podawała prasa i TV, po potrąceniu od ceny brutto kosztów, ze sprzedaży jednego samochodu pozostaje nam tylko 50 dolarów, podobnie z węglem, stalą itd. Sprzedajemy za symboliczną kwotę, ale robotnik otrzymuje (choć niską) zapłatę za produkcję, czyli pieniądze bez pokrycia.

Drugim ważnym problemem jest nieuzasadniony import. Jak w 1981 roku podawały „Kulisy” w abecadzie importu, nawet kredę sprzedaliśmy z FRN i Anglii itp. Kraj nasz tracił, a ci, co handlowali, zarabiali choćby nawet na prowizjach od transakcji.

3. Marnotrawienie pieniędzy na nieuzasadnione różne wydatki. Chwilami wydaje mi się, że niszczy się naszą gospodarkę dla zabawy. Przykłady:

a) Przed laty modne było reklamowanie na stadionach, blokach itp. artykułów, których nie było w sprzedaży. Np. samochodów, telewizorów itp. Koszty reklamy olbrzymie i po co?

b) Dwa razy w roku (lub więcej) organizuje się w Poznaniu krajowe targi. Koszty olbrzymie i paranoja też nie mniejsza. Targi te przebiegają mniej więcej tak: zgłasza się handlowiec do wystawcy-producenta z pytaniem, ile wyprodukuje np. tkanin bawełnianych. Wystawca mówi, że nie wie, ponieważ za miesiąc będzie miał dopiero rozdziałnik surowca. Handlowiec pyta się, w jakim kolorze i wzorze będą te tkaniny. Producent mówi, że nie wie, ponieważ za 2 miesiące będą rozdziałni na barwniki. Handlowiec pragnie zamówić cokolwiek. Wystawca mówi, że to niemożliwe, ponieważ to, co ewentualnie wyprodukuje, już zostało w całości zamówione przez inną firmę. Planowa to gospodarka czy kabaret? A koszty tego widowiska?

4. Kraj nasz ponosi olbrzymie koszty związane z zagłuszaniem zachodnich radiostacji. Oficjalnie zaprzeczają temu, ponieważ jest sprzeczne z podpisaną przez naszą władzę międzynarodową konwencją. Mimo to zagłusza się i każdy może to sprawdzić. Koszty idą w miliardy.

5. Niewyjaśniona sprawa pana Urbańskiego (jeśli nie pomyliłem nazwiska), to jest tego pana, co wywoził z kraju szlachetne kamie-

(Dokończenie na str. 13)

## POLEMIKA

**P**RZECZYTAŁEM w bardzo ciekawym tygodniku pt. „Relacje” list p. Róży Jundziłłowej (nr 14) oraz polemikę p. Józefa Chinka (nr 18) dot. ruchu religijnego, zwanego neokatechumenatem.

Znając drogę wspólnot i przeżywając duży niepokój, chcę podzielić się pewnymi spostrzeżeniami. Zaznaczam, że jak najbardziej obiektywnie ustosunkuję się do tego zagadnienia. Wydaje mi się, że mam prawo wypowiedzieć się na ten temat, ponieważ uczestniczyłem przez dłuższy czas w liturgiach jednej z wielu grup wspólnotowych. Ponadto mam krewnych, którzy nadal są na tzw. „drodze” (już ponad 10 lat).

Jednocześnie chcę powiedzieć p. Chinkowi, że nie wystarczy wysłuchać wstępnych katechez, jak też uczestniczyć od święta w takich liturgiach jak chrzty, śluby. Trzeba wejść za kulisy, posłuchać rozmów osób najbardziej wtajemniczonych, poznać ich taktykę.

Wielka szkoda, że na temat neokatechumenatu dopiero teraz pojawił się list p. Róży Jundziłłowej. Jestem pełen uznania dla autorki tego listu. Prawidłowo odczytała i dostrzegła zle strony tego ruchu. Dobrze się stało, że wreszcie wyszła na jaw część prawdy, tak bardzo ukrywanej przez fanatycznych liderów neokatechumenatu. Winowajcy niechcący sami włożyli kij w mrowisko, nie p. Róża, jak twierdzi p. Chinek. Znając ten ruch od chwili jego powstania, zaznaczam, że list p. Róży nie jest paszkwilem na wspólnoty. Teraz podam garść faktów i zarzutów pod adresem tego ruchu.

Zacznę od tego, że odpowiedzialni, katechisci i przezbiterzy ukrywają część prawdy i często kłamią przed biskupem o faktycznej sytuacji, jaka panuje w grupach wspólnotowych. Hierarchia kościelna nie zna całej prawdy, a sprytni liderzy potrafią, co trzeba, dobrze zamaskować i afiszują się pod płaszczykiem Kościoła katolickiego.

Zaczyna się wszystko bardzo ładnie i niewinnie. Kiedy powstanie nowa grupa wspólnotowa, to katechisci udają się do biskupa i całą sprawę nawiązują, a właściwie wprowadzają w błąd i proszą o wręczenie członkom wspólnoty Pisma Świętego. Ks. biskup, oczywiście niczego nie podejrzewając, każdemu podaje księgę Pisma Świętego, wymawiając przy tym słowa: „Niech treści w niej zawarte będą wykładnią twojego życia”. Jest to moment bardzo wymowny i psychologiczny, który w czasie realizowania „drogi” wykorzystują katechisci i odpowiedzialni, mówiąc, że: „Przecież sam biskup wprowadził was do wspólnoty, a wy nie chcecie zawierzyć swemu biskupowi”.

Dopiero w czasie „drogi” stopniowo wprowadzany jest reżim wspólnotowy. Początkowo dużo osób buntuje się, nie chce przyjmować wtłaczanej im papki. Stopniowo tepieją i godzą się na wszystko. Osoby, które mają charakter i silną wolę, dłużej się bronią. Szarpiają się, są w rozterce, bronią swego „ja”, wreszcie ulegają, stając się królikami doświadczalnymi. Niektórzy nie wytrzymują, chcą odejść ze wspólnoty. Wtedy stosuje się szantaż. W takiej sytuacji kierownicy perswadują, zatrzymują na siłę, grożą. Odwiedzają natrętnie dom adeptów.

Celem poparcia tych faktów cytuję wypowiedź adepta: „Już mam dosyć tej wspólnoty, bardzo cierpię, czuję, że powinnam odejść, mam chaos w głowie, wpadam w depresję, tracę niepotrzebnie czas, zamiast się uczyć”. Wtedy przezbiter daje taką odpowiedź zniewolonej duszyczce: „To dobrze i prawidłowo, we wspólnotcie nie ma i nie będzie łatwego życia. Pan Bóg robi z tobą »drogę«. Chcesz odejść ze wspólnoty, ponosi cię pycha. Dlaczego jesteś pysznym człowiekiem? Chcesz zdradzić Chrystusa jak Judasz. Ludzie z tradycyjnego Kościoła są gorsi od nas, ponieważ w nich nie ma działania Ducha Świętego. Obcując z nami, na pewno się zbawisz, a w kościele nie wiadomo...”.

Po pewnym czasie i przy takich naciskach adept staje się biernym narzędziem, robi wszystko, co mu każą chorobliwi wizjonerzy. Eksperyment się udał. Stosunkowo szybko udało się ujarzmić rozbiegane owieczki.

Neokatechumenat stał się katastrofą dla jednostek o subtelny, wrażliwym charakterze i wprowadził je w obłąd, wewnętrzne miotanie, a nawet załamania psychiczne. Wieczory pokutne, gdzie do znudzenia mówi się o grzechu, cierpieniu, zażalności serc, rodzą obsesje, kompleksy i prowadzą do zwiczenia psychicznych. Głosi się zasadę, że każdy jest zły. Jest to krańcowo pesymistyczne widzenie świata i spraw religijnych.

Fakty te dotknęły wiele rodzin i przyczyniły się do skłócenia dzieci z rodzicami. Młodzież bardzo często ucieka z domu, gdy rodzice nie pozwalają

na wieczorne, czasem nocne przesiadywanie, ze względu na naukę swoich dzieci. W przypadku, gdy młodzi ludzie mówią na spotkaniach, że nie mogą się zajmować tylko sprawami wspólnoty, bo muszą się uczyć, otrzymują odpowiedź wodza „odpowiedzialnego za grupę” lub przezbitera (ksiądz sprawujący liturgię we wspólnotcie): „Nie potrzebujesz się uczyć ani zdobywać dyplomu, stopni naukowych, bo staniesz się pysznym człowiekiem. Przy Panu Jezusie nie było żadnego apostoła z dyplomem”. Takie polecenia może dawać tylko chory psychicznie maniak religijny.

Obłądne praktyki religijne bardzo absorbują, zabierają dużo czasu. Człowiek uczący się czy pracujący nie jest w stanie podolać i pogodzić nauki, pracy, obowiązków domowych oraz spotkań wspólnotowych bez zaniedbań w jakiejś dziedzinie bądź uszczerbku na zdrowiu. Taki tryb życia jest niezgodny z higieną zdrowia psychicznego, jest ponad siły ludzkie. Wspólnota nie ma prawa do niszczenia zdrowia ludzkiego.

W przypadku kilkudniowych, najczęściej wyjazdowych konwencji odpowiedzialni dają polecenia, aby ludzie zwalniali się z pracy, aby jakoś pokombinowali np. zwolnienie lekarskie, naturalnie często fikcyjne. Po pewnym czasie staje się powszechne, że wierni wspólnot zaniedbują się w pracy, obowiązkach domowych. Mówią, że tylko wiara i modlitwa się liczy, a nic więcej.

Stuknijcie się w wasze głowy, przezbiterzy, odpowiedzialni i pomyślcie, jaką wielką krzywdę wyrządzacie polskiej młodzieży! W Polsce mamy wystarczającą ilość młodych rencistów, a wy

# „DROGA”

chcecie powiększać ich szeregi. A może to celowa wroga robota, a może powiecie, że taką naukę głosi papież i księża? Po ziemi chodzący i zdrowo myślący człowiek na pewno powie, że jest to obłądne, chorobliwe rozumowanie wodzów neokatechumenatu!

W życiu wszystko się liczy — zarówno modlitwa, jak i praca. Na pewno nie złośliwe, ale prawdziwe jest powiedzenie p. Róży pod adresem wspólnot, że człowiek chodzący po bezdrożach tępieje, a ja dodaje, że głupieje i staje się zacieńszalnym fanatykiem, z którym nie można się dogadać. Nie potrafi logicznie myśleć i rozmawiać, a jest to wynikiem narzuconego schematyzmu myślowego.

Sposób zabierania głosu przez uczestników spotkań zarówno pod względem treściowym, jak też formalnym budzi niepokój. Jest to myślenie nie samodzielne, schematyczne. Trzeba trzymać się i podporządkować bezkrytycznym, często głupawym kanonom i panującemu stylowi. Kto długo uczęszcza na spotkania, nabiera manier, jakie tam panują i staje się dziwnym i trudnym w normalnym współżyciu. Często bardzo pozytywni ludzie zmieniają się radykalnie i dopasowują do ludzi nieodpowiedzialnych.

Zamknięte kręgi, ciepła atmosfera przyczyniły się nie tylko do alienacji młodzieży od rodziców. Rozbiły — jak wiem — jedno małżeństwo: żona zostawiła męża i pojechała z przezbiterem z tej samej grupy w siną dal i z nim żyje. Mąż, członek tej grupy, klękał i dziękował Bogu za doświadczenie. Na innym spotkaniu prosił Boga, aby kochankowie wrócili i razem byli z nim w tej samej grupie!

Na spotkaniach panuje ekshibicjonizm, trzeba mówić publicznie o swoich sprawach intymnych. A przecież ekshibicjonizm jest zjawiskiem patologicznym.

Z katechez głoszonych wynika, że zło, grzech i inne nalogi nie powinny być negowane, lecz akceptowane i w myśl tych wypowiedzi, Pan Bóg, który jest panem każdej naszej sytuacji, sam nas z tego wyprowadzi bez wysiłku z naszej strony. Cytuję wypowiedź przezbitera: „Zaufaj Chrystusowi. On cię wyprowadzi z grzechu bez twego wysiłku. Wystarczy wiara, a uczynki są nieważne. Stać się można lepszym tylko dzięki wierze i zdaniu się na Chrystusa. Ludzka egzystencja jest egzystencją istoty pogrążonej w grzechu. Należy wyzbyć się radości życia, bo świat jest doliną łez i rozpacz. Świat znajduje się w cieniu grzechu i śmierci”.

Chcę zaznaczyć, że jest to luterkańska pustka, rozpacz i bezsens życia. Nauka Kościoła rzymsko-katolickiego jest przecież inna.

Pan Chinek ubolewa, iż „prawdą jest, że homilie w kościołach są puste, jałowe i nijakie, w mojej parafii też”. Radzę, pomyślcie krytycznie, jakie katechezy głoszą katechisci ze wspólnot. Słyszałem najczęściej paplaninę i to nazywacie „kerigmą charyzmatycznie natchnioną”. We wspólnotach panuje mania charyzmatów. Często wypowiedzi ludzi ze wspólnot są paszkwilem na Kościół

i księży: „Homilie księży są słodkim bzdzeniem. Kościół dał mi gówno. Dlaczego tak bardzo wychwala się papieża? Listy pasterskie nie są potrzebne do zbawienia. Reformy soboru watykańskiego zostały na papierze jak konstytucja PRL. Księża postępują tak jak dawniej faryzeusze”.

Wysmiewa się często, a nawet usuwa polskie tradycyjne formy modlitwy. Na miejsce odrzuconych tradycji rzymsko-katolickich wprowadza się „daistyczno-protestanckie. Przekreśla się też niektóre święta kościelne, np. w Dniu Wszystkich Świętych zorganizowano wyjazdową konwencję, uniemożliwiając w ten sposób ludziom danej grupy obchodzenie tych świąt w kościele i na grobach najbliższych zmarłych. Braciom po pierwszym skrutynium nie pozwala się wyjeżdżać na Święta Wielkanocne do swoich rodzin. Wydaje się nakaz obchodzenia Świąt Paschy we wspólnotcie.

W neokatechumenacie panuje reżim. Cytuję wypowiedź odpowiedzialnego: „Swoją czas i pieniądze musisz poświęcić wspólnotcie, bo jesteś naszym bratem. Ona jest naszą siostrą i my mamy wyłączne prawo do niej, my nią dysponujemy, nie rodzice”. W czasie spotkań niczego nie można krytykować, odpowiedzialni i przezbiterzy boją się wszelkiej krytyki — zarówno pochodzącej z wnętrza, co jest zresztą zabronione, jak też krytyki zewnętrznej. Dlatego zapewne grupy są hermetycznie zamknięte, żeby ktoś nie przyniósł z zewnątrz posiewu rewolucji. Na odpowiedzialnych wybiera się odpowiednie osoby, które nie znoszą sprzeciwu i potrafią wytresować swych adeptów i utrzymać reżim.

Odpowiedzialni wprowadzili podatek zwany kolektą i systematycznie ściągają od swych człon-

ków pieniądze. Nikt ich z tego nie rozlicza. Oni dysponują kasą wspólnotową. W ten sposób wykorzystuje się naiwnych ludzi i pewien procent nierobów żyje na cudzy rachunek.

Na konwienacjach wyłudza się większe sumy pieniędzy w oparciu o teksty Pisma Świętego. „Sprzedaj, co masz, i rozdaj ubogim” czy tekst o „wdowim groszu”. Katechista lub przezbiter zwraca się do obecnych i mówi, że Chrystus dzisiaj kieruje te słowa do nas: „Rodzina, dziecko, mąż, żona, sława, praca, obowiązki, zdrowie, pieniądze są twymi bożkami i musisz każdą ich wyzbyć bo od ciebie żąda tego Bóg. Największym jednak bożkiem jest ten parszywy pieniądz, którego musisz się wyzbyć będąc na »drodze«”.

Katechista tak sugestywnie piętnuje tego „bożka”, że zebrani oddają posiadane przy sobie pieniądze i deklarują dodatkowe kwoty, które zobowiązują się złożyć na cele wspólnoty w najbliższym czasie. W ten sposób każdy ma się sprawdzić, czy nie jest do tego „idola” przywiązany, a przez to, jak daleko jest na „drodze”. Rozegaltowane osoby oddały wszystkie pieniądze i do pierwszego nie miały z czego żyć.

Ludzie z neokatechumenatu sieją duży zamęt w Kościele i dezorganizują życie rodzinne. Podam jeszcze jeden cytat z wypowiedzi przezbitera: „W rodzinie nie masz wolności, więc musisz się od rodziny oddalić i dopiero wtedy będziesz miał absolutną wolność, musisz zerwać z rodziną. We wspólnotcie masz wolność, a gdy się nawrócisz, zniknie u ciebie lęk o rodzinę, dzieci będą miały większą wolność, wyzbedziesz się bożków tego świata”.

Po pewnym czasie rodziny dla większości młodych osób ze wspólnot stają się obce, Kościół niepotrzebny, ponieważ oni mają komuny zamiast rodziny i swoje nocne, atrakcyjniejsze kościółki.

Pan Chinek pisze: „Księża patronują żądaniom pluralizmu związkowego, a nie znoszą u siebie wielości w jedności”. Kościół od chwili swego powstania miał jednego Piotra i jedną liturgię. Trzeba się przyznać i rzecz nazwać po imieniu, że prowadzicie rozbijającą robotę! Wymagania wizjonerów neokatechumenatu są paradoksalne, sprzeczne z naturą człowieka, jego wolnością oraz nauką społeczną Kościoła. Papież Jan Paweł II w swoich homiliach i innych publikacjach z wielką troską akcentuje jedność i dobro rodziny. Kto dał prawo ludziom ze wspólnot do ingerencji w rodzinę, podstawową komórkę społeczną?

Jeśli ktoś ośmiela się powiedzieć słowa krytyczne pod adresem neokatechumenatu, mówią, że walczy z Bogiem. Odpowiadam, że to nieprawda, nie walczy z Bogiem, ale z głupotą ludzką. Taka jest prawda.

Ruchem neokatechumenatu winna bliżej zainteresować się hierarchia kościelna w celu przywrócenia omamionym ludzi do normalnego, zdrowego życia rodzinnego i religijnego. Pasterze diecezji nie mogą tolerować takich zjawisk.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

(Dokończenie ze str. 1)

nadawał mu uniwersalny charakter walki z komunizmem (określanym pojęciem „konspiracji światowej”), zaś politycznie nie był wprost wymierzony przeciwko Związkowi Radzieckiemu, ale zakładał wymianę informacji, współpracę w ściganiu „agentów Kominternu” i zobowiązanie sygnatariuszy (w aneksie) do „nierobienia niczego, co mogłoby ułatwić sytuację ZSRR”. Oglaszając pakt, Ribbentrop mówił: „Japonia nigdy nie pozwoli na rozszerzenie komunizmu na Dalekim Wschodzie. Niemcy w środkowej Europie budują wał obronny przeciwko tej morowej zaradzie. I wreszcie Włochy, jak oznajmił światu Duce, rozwiną antykomunistyczny sztandar na południu”. Pakt Antykominternowski miał się stać przesłanką sojuszu militarnych Rzeszy i znakomicie usposabiał Zachód do reżimu hitlerowskiego, był bowiem skierowany na Wschód.

Ministrem spraw zagranicznych został Ribbentrop z początkiem lutego 1938 r., gdy Hitler zdecydował się na przejście do otwartej agresji przeciwko pokojowi i w tym celu potrzebował nowych ludzi w kierownictwie polityki zagranicznej i armii.

W wyniku słynnych afer — intryg z feldmarszałkiem Blombergiem, ministrem wojny i gen. Fritschem, dowódcą wojsk lądowych — Hitler spacyfikował nastroje w Wehrmachcie. Zniósł urząd ministra wojny. Jego agendy przejęło Oberkommando der Wehrmacht, które stało się faktycznie sztabem Hitlera z jego szefem, bezwonnym gen. Wilhelmem Keitlem, zaś po Fritschu stanowisko objął gen. Walter Brauchitsch.

**P**RZYPOMNIAŁEM tych kilka momentów z wczesnej kariery Ribbentropa na ogólniejszym tle wydarzeń, by stał się zrozumiałym bezprecedensowy zwrot polityczny, jaki Niemcy wykonały w 1939 r. w stosunku do Związku Radzieckiego — od programowego antykomunizmu, po traktat o przyjaźni i wspólnej granicy niemiecko-radzieckiej.

Przełom w stosunkach między obu państwami nastąpił w drugiej połowie kwietnia 1939 r., kiedy podjęto w Berlinie negocjacje dotyczące uporządkowania wymiany handlowej.

W tym czasie doszło też do skrajnego napięcia w stosunkach niemiecko-polskich (zerwanie deklaracji o nieagresji przez Hitlera 28 kwietnia i polska stanowcza odpowiedź ministra Becka 5 maja), które przeszły w fazę licznych incydentów granicznych, prowokowanych przez Niemców. Liczba ich stale rosła i w ciągu czterech miesięcy przekroczyła 400 różnego rodzaju „wypadków”. Listę zamyka prowokacja z radiostacją w Gliwicach.

Jednocześnie trwały zabiegi dyplomatyczne ze strony Wielkiej Brytanii i Francji, zmierzające, wzorem konferencji w Monachium w końcu września 1938 r., do załagodzenia za wszelką cenę konfliktów i poszukiwania rozwiązań pokojowych, podobnie za wszelką cenę... Stąd propozycje brytyjskie, także francuskie, pod adresem ZSRR. Te ostatnie wynikały też z paktu radziecko - francuskiego z 1935 roku.

W różnym stopniu dotyczyły one Polski, lecz ze strony Niemiec rozmów już nie było, ze strony Zachodu owszem, ale tylko w takim zakresie, jaki odpowiadał strategicznym interesom Francji i Wielkiej Brytanii, nie zaś Polski. Tu już byliśmy, niestety, przedmiotem, zachowując zarazem narodową, niepodległą podmiotowość i suwerenność.

Hitler po „eksplodującej” mowie z 28 kwietnia usunął się w cień, nie składając deklaracji, nie pokazywał się publicznie — siedział w Berchtesgaden. Uczestniczył tylko w podpisaniu „paktu stalowego” z Włochami 22 maja (co było kolejnym spektakularnym wyczynem Ribbentropa), a 23 maja zebrał najwyższych rangą wojskowych i bez ogródek oświadczył: „Będzie wojna. Naszym zadaniem jest odizolowanie Polski. O powodzeniu zdecydowanie owa izolacja... Nie powinno dojść do jednoczesnego starcia z mocarstwami zachodnimi”, jak zanotował adiutant Schmidt.

Niemcy konsekwentnie zmierzały do izolacji Polski przez zbliżenie z państwami Europy środkowowschodniej. Różnie się to odbywało: albo drogą zręcznych presji Ribbentropa i jego zastępcy Ernsta von Weizsäckera (notabene ojca obecnego prezydenta RFN), który systematycznie „widywał się” z

ambasadorami Francji i Wielkiej Brytanii dla wywołania prohitlerowskich nastrojów, albo budzeniem strachu wśród władz poszczególnych krajów, przerażonych postępowaniem agresji państw bloku „Osi”.

Latem ośrodkiem dyplomacji europejskiej stała się Moskwa. Właściwie to już słynna mowa Mołotowa z 31 maja stanowiła otwarcie — zaproszenie do żywszej dyplomacji, ale... Niemcy wyczekiwali na rozwój sytuacji i przewlekali, na ile się da, rozmowy handlowe, zaś inicjatywa M. M. Litwinowa zawarcia trójstronnego paktu brytyjsko - francusko - radzieckiego, zgłoszona jeszcze 16 kwietnia, została właściwie odłożona...

Pojawiło się niezcierpliwienie na Kremlu. Wyrazem tego był artykuł Andrieja A. Zdanowa, ogłoszony 29 czerwca na łamach „Prawdy”, o braku chęci rządów zachodnich do porozumienia z ZSRR „na zasadzie równych praw”. Wiadomo, że tym razem była to oferta samego Stalina. I nie uszło to uwagi Berlina, gdzie np. skuteczność tzw. gwarancji brytyjsko-francuskich dla Polski oceniano w łączności z poparciem ich lub udziałem radzieckim.

Stąd czujność bardzo wytrawnych niemieckich dyplomatów w Moskwie: radcy Gustawa Hilgera, który tu przybył jeszcze w 1921 r. by zorganizować przedstawicielstwo dyplomatyczne, i już pozostał, oraz Friedricha Waltera von der Schulenburga, ambasadora od 1934 r. Byli to wychowankowie starej „pruskiej szkoły dyplomatycznej” Ago von Maltazana i Ulricha Brockdorff-Rantzau, dla której sojusz z Rosją (sięgający tradycją układu poczdamskiego w 1720 r. i dyplomacji Loewenwolda i jego traktatu w Berlinie w 1732 r.) był wręcz racją stanu — objętne, pruską, niemiecką czy hitlerowską.

To właśnie Maltazan doprowadził do układu z ZSRR w Rapallo 16 kwietnia 1922 r. i zainicjował całą „politykę rapalską” o fatalnych następstwach dla Polski. Może to tylko zbieg okoliczności, ale delegacja radziecka mieszkała tam w „Palazzo Imperiale”, zaś układ podpisano w momencie, gdy Niemcom narzucono, w ich opinii, „dyktat wersalski”, a Rosję Radziecką zaprojektowano na Zachodzie „otoczyć płotem z drutu kolczastego” (teza G. Clemenceau, nazwana też doktryną „kordonu sanitarnego”). Obydwa państwa, przyszłe mocarstwa, zresztą wydestowały się z izolacji i podjęły współpracę.

Przypomniałem te fakty, bo niemieccy dyplomaci w Moskwie nie mieli żadnych skrupułów. Rozpoczęli negocjacje z W. M. Mołotowem i Anastasem Mikojanem. Szło jak po grudzie, bo Rosjanie byli twardzi... więc Hitler polecił przerwać „tę zabawę”. Nastąpiła cisza.

18 lipca Kreml podjął sprawę ukończenia rokowań handlowych, które w Berlinie negocjowali Georgij N. Astachow, chargé d'affaires oraz Nikołaj W. Babarin, szef radzieckiej misji handlowej. Ich to właśnie zaprosił na kolację Karl Schnurre (taka trochę szara eminencja w kręgu Ribbentropa) i bez zbędnych ceregieli postawił wyjątkowo handlowe pytanie: „Co Anglia ma do zaofiarowania Rosji?” I zaczął sam sobie odpowiadać: „W najlepszym wypadku udział w wojnie europejskiej i zbrojne starcie z Niemcami, ale nic, czego Rosja mogłaby sobie życzyć [...] Co my możemy zaofiarować? Neutralność i trzymanie się na uboczu w ewentualnym konflikcie europejskim, a gdyby Moskwa sobie tego życzyła, niemiecko - radzieckie porozumienie we wspólnym interesie, które okaże się korzystne dla obu krajów”.

W ślad za tym raportem Schnurrego, Schulenburg miał wy badać reakcję Mołotowa. Weizsäcker 29 lipca pisał w instrukcji: „Niezależnie od tego, jaki obrót przybierze kwestia polska [...], byłibyśmy gotowi zagwarantować wszystkie interesy radzieckie i dojść do porozumienia z Moskwą”. To już były konkrety, które na Kremlu przyjęto ze zrozumiałym zainteresowaniem.

Tymczasem ambasador Johannes Welczek przysłał datowany 28 lipca alarmujący raport, że Francja i Wielka Brytania są gotowe negocjować z ZSRR. W Berlinie powstało zamieszanie i gorączkowe wypracowywanie decyzji - instrukcji dla służby dyplomatycznej, a na wszelki wypadek Goebbels „uruchomił” prasową kampanię przeciw Polsce.

**P**OWRÓĆMY do Ribbentropa. Po początkowej piorunującej wieści z Paryża odetchnął z ulgą, kiedy okazało się, że Francuzi i Anglicy... płyną statkiem do Leningradu, a stamtąd jadą do Moskwy. Ten sposób podróży (minimum 10 dni!) oraz skład delegacji, której ze strony brytyjskiej przewodniczył emerytowany (sic!) admirał Reginald Plunkett-Erle-Drax, a francuskiej gen. Aimé Doumenc, upewnił Niemców, że Zachód podchodzi do rozmów sztabowych z małą wiarą i chyba brakiem kompetencji. Miał to być nowy wątek rozmów, bowiem polityczne „zawisły”, gdy 25 maja Londyn i Paryż złożyły Moskwie wspólną propozycję, zaś 2 czerwca ZSRR przedstawił kontrpropozycję. Po tej wymianie not, rozmów praktycznie nie było i dopiero teraz miały się rozpocząć rokowania, ale wojskowe, sztabowe.

Wypada wspomnieć, że polityczne propozycje zachodnie były ogólnikowe i sprowadzały się do działań na zasadach określonych w Statucie Ligi Narodów, zaś nota radziecka w punkcie 1 stwierdzała:

„Francja, Wielka Brytania i ZSRR zobowiązują się do udzielenia sobie wzajemnie niezwłocznie wszechstronnej skutecznej pomocy, jeżeli jedno z tych państw zostanie wciągnięte w działania wojenne z mocarstwem europejskim wskutek albo

1) agresji ze strony tego mocarstwa przeciw któremukolwiek spośród tych trzech państw, albo

2) agresji ze strony tego mocarstwa przeciw Belgii, Grecji, Turcji, Rumunii, Polsce, Łotwie, Estonii, Finlandii, co do których zostało uzgodnione mię-

szalek Kliemient J. Woroszyłow i szef sztabu Kombryg Boris A. Szaposznikow, zapoznawszy się z pełnomocnictwami swoich rozmówców, nie kryli rozczarowania.

Tymczasem Niemcy sprawiali wrażenie pełnej determinacji w doprowadzeniu do zbliżenia. Oto Ribbentrop przyjął Astachowa i odbył dłuższą rozmowę, z której relację, złączoną z instrukcją, posłał do Schulenburga już 2 sierpnia, pisząc: „Wyraziłem życzenie Niemiec przemodelowania stosunków niemiecko - radzieckich i stwierdziłem, że od Bałtyku po Morze Czarne nie ma problemu, którego nie można by rozwiązać ku naszemu obopólnemu zadowoleniu... Oświadczyłem, że gotów jestem osobiście wziąć udział w takich rozmowach...” Schulenburg tę instrukcję niemal wiernie powtórzył Mołotowowi (Hilger zrelacjonował jego wypowiedzi w pamiętnikach).

Po całych latach izolacji nieoczekiwane na Kreml spadła obfitość propozycji, z których wszystkie wydawały się ważne w sytuacji, gdy na Dalekim Wschodzie od maja trwała właściwie wojna z Japonią. Sprawa bezpieczeństwa u zachodnich granic ZSRR była więc dla Stalina niezmiernie ważna, ale... warta przetargu. Zaczął „wygrywać czas”, czyli nie zajmować wyraźnego stanowiska poza zgodą na projekt paktu o nieagresji z Niemcami, przy czym każda strona miała przedłożyć propozycję układu. Obydwa państwa miały już w tym zakresie wypracowane precedensy, ale Związek Radziecki wprowadzał nowy element — warunkował ratyfikację paktu przyjęciem poufnego protokołu określającego interesy obydwu stron.

# RIBBENTROP

dzy Wielką Brytanią, Francją i ZSRR, że państwa te zobowiązują się bronić tych krajów przeciw agresji...”

Było to trochę zbieżne z poglądami Ribbentropa, ale szczegóły wymagały uzgodnień.

Fragmety ten orientuje w koncepcji polityki radzieckiej i jest to o tyle istotne, że rozpoczęte 12 sierpnia w Moskwie rozmowy delegacji wojskowych jakby tego nie dotyczyły... Mar-

Tymczasem Ribbentrop podejmował 11 sierpnia Galeazzo Ciano, zięcia Mussoliniego i włoskiego ministra spraw zagranicznych, który przyjechał do wiejskiej rezydencji Ribbentropa w Fuschl opodal Salzburga. Ciano usi-

Spezialkarte

DES DEUTSCHEN

U. RUSSISCHEN

INTERESSENGBIETES

im ehemaligen Polen

mit deutschen Ortsnamen

Maßstab 1:1 750 000

Karta tytułowa „Specjalnej mapy niemieckich i rosyjskich obszarów interesów w byłej Polsce i niemieckich terytoriów na Wschodzie”. Lipsk 1940. Ed. Gaebler. Gegr. Institut.

Repr. Krzysztof Czyżewski

łował doprowadzić do ugody z Polską, ale spotkał całkowitą nieustępliwość, którą w pamiętnikach tak opisał: „Muszę dodać, że robi on wrażenie, jakby nierozsądnie, z upartą determinacją dążył do tego konfliktu... Wychodzi z dwóch założeń i nawet nie można z nim dyskutować, czy są słuszne, ponieważ stale powtarza te same tezy i unika dyskusji. Tymi tezami są: 1) konflikt nie będzie ogólny... 2) nawet gdyby Francja i Anglia chciały interweniować, staną wobec fizycznej niemożliwości w szkodzeniu Niemcom lub osi i konflikt musi się skończyć zwycięstwem mocarstw totalitarnych”. Rozczarowany Ciano ubolewa, że Ribbentrop nawet nie wyjaśnił najbliższych zamiarów Niemiec i zbył go zdaniem: „Wszystkie decyzje nosi Führer zamknięte w swoim nieprzeniknionym sercu”.

Tymczasem rokowania brytyjsko-francusko - radzieckie „obstawione” były całą czujnością Hilgera i Schulenburga, który codziennie relacjonował do Berlina ich przebieg, albo inaczej... impas; 17 sierpnia rozmowy przerwało. Był to impas znacznie szerszy, bo objął i Niemcy: na ponaglenia Schulenburga o ustalenie terminu wizyty Ribbentropa Molotow chłodno odrzekł, że taka wizyta „wymaga odpowiedniego przygotowania, aby wymiana zdań mogła dać wynik” i tu wymienił kilka spraw, jak np. czy Niemcy chcą zawrzeć pakt o nieagresji, czy gwarantują granice państw bałtyckich, czy gotowe są uznać potrzebę wywarcia presji na Japonię? Dodał, że kwestie te „muszą być już uprzednio uzgodnione, tak by niemiecki minister spraw zagranicznych przyjechał nie dla wy-

rząd radziecki upoważnił go do zawia- domienia, że zgadza się na przyjazd pana von Ribbentropa do Moskwy w dniu 23-sierpnia”.

Uradowany Hitler wykrzyknął: „Świat mam teraz w kieszeni!”, na zwykłej kartce udzielił Ribbentropowi nieograniczonych pełnomocnictw, stawiając tylko jeden warunek — każda podpisana umowa musi wejść natychmiast w życie z chwilą podpisania; zarządził w Obersalzberg na południe 22 sierpnia odprawę OKW i poszedł spać, przesiadając bowiem całą poprzednią noc, gawędząc z Göringiem przez telefon, tak pilnie czekał wieści z Moskwy.

**R**IBBENTROP poleciał specjalnym samolotem do Królewca, przespał tu noc 22/23 sierpnia i rano ruszył dalej, do Moskwy, gdzie stanął o 13 na lotnisku Hudyńka. Gospodarze witali niezwykle serdecznie: Władimir Potiomkin, zastępca Molotowa, podjął gościa wytworną francuszczyzną, orkiestra odegrała najpierw „Deutschland, Deutschland über alles...” i zaraz „Horst Wessel Marsch...”, potem „Międzynarodówkę”. Kompania prezentowała się świetnie w oprawie ogromu flag czarno-czerwono-białych, flag cesarskich Niemiec, przyozdobionych znakiem faszystów — swastyką. Dostojny gość nie zauważył, że są to atrapy wypożyczone z „Mosfilmu”, gdzie kręcono jedną po drugiej antyhitlerowskie „agitki”.

Odpoczął w pustym gmachu dawnego poselstwa Austrii, a o 16 był już na Kremlu u Stalina i Molotowa. Po wstępnej prezentacji stanowisk rozmowy potoczyły się wartko, bo pakt o

## W MOSKWIE

miany zdań, lecz dla podjęcia konkretnych decyzji”. Schulenburg przekazał te wypowiedzi do swojej centrali w Berlinie i odwrotnie otrzymał pełną akceptację. Poszedł więc do Molotowa 17 sierpnia z odpowiedzią, ale ten stwierdził, że w rozmowach trzeba posuwać się naprzód „stopniowo, praktycznie i poważnie”. Trzeba więc wpierw zakończyć rokowania handlowe, a potem przechodzić do paktu o nieagresji...

Taktyka Molotowa była przejrzysta — grał na zwłokę, bo z ogólnej sytuacji wynikała już duża nerwowość Hitlera i jego parcie do wojny...

19 sierpnia Niemcy w Berlinie kończą rokowania traktatu handlowego, które wlokły się od końca kwietnia, i Ribbentrop depeszczył do Schulenburga: „Proszę nalegać na szybką realizację mego przyjazdu i sprzeciwić się nowym obiekcjom Rosjan. Musi Pan pamiętać o decydującej faktcie, że zbrojny konflikt z Polską może wybuchnąć lada chwila i że dlatego niezmiernie zależy nam na mojej niezwłocznej wizycie w Moskwie”. Nagłony tak stanowczo Schulenburg referuje wszystko Molotowowi i uzyskuje zgodę na przyjazd Ribbentropa za tydzień, czyli 26 lub 27 sierpnia.

Tego napięcia nie wytrzymał sam Hitler, bowiem wyznaczył już na 26 sierpnia termin ataku na Polskę i przedtem chciał mieć jasność co do postawy ZSRR. Zdecydował się na krok bez precedensu: napisał 6-punktowy list - telegram do Stalina, tego samego Stalina, którego przez kilkanaście lat przed całym światem ogłaszał jako jedyne i największego swojego wroga! Hitler był pierwszym mężem stanu, który uznał pozycję Stalina — przywódcy partii, nie pełniącego w tej chwili żadnej funkcji w państwie. Hitler zgadzał się na proponowany przez Molotowa projekt paktu o nieagresji (pkt. 3) oraz „Zusatz Protokoll” (co można przełożyć na polski jako dodatek, uzupełnienie, aneks), który Ribbentrop także będzie mógł podpisać (pkt. 4) i prosił o jego przyjęcie 22 lub 23 sierpnia, a także prosił o odwrotną odpowiedź... Depesza Hitlera wyszła po południu 20 sierpnia, a rano Schulenburg telefonicznie podał odpowiedź Stalina:

„Do Kanclerza Rzeszy Niemieckiej, Pana A. Hitlera.

Dziękuję za list. Mam nadzieję, że niemiecko - radziecki pakt o nieagresji będzie oznaczał decydujący zwrot na lepsze w stosunkach politycznych między naszymi dwoma krajami”. Dalej Stalin określał pakt jako wyraz przyjaznych stosunków i dodał, iż

nieagresji był praktycznie uzgodniony; mimo że przygotowywany oddzielnie, okazał się zdumiewająco zbieżny. Nowością było opracowanie protokołu dodatkowego z klauzulą tajności i złączenie go z paktem oraz procedurą szybkiej ratyfikacji, mimo wejścia paktu w życie zaraz po podpisaniu.

Tajny protokół również nie wzbudził większych wątpliwości rozmówców. Uzgodniono strefy interesów i ich linię wzdłuż czterech rzek: Pisa — Narwa — Wisła — San. Strona radziecka zgłaszała zainteresowanie wobec wybrzeży wschodniego Bałtyku co do Łotwy i Estonii oraz wobec ziem II Rzeczypospolitej po linię „czterech rzek”, zaś na południowym wschodzie Europy wobec Besarabii, niedłuzszej prowincji rosyjskiej, włączony do Rumunii po I wojnie. Niemcy natomiast określały swoje interesy w stosunku do Litwy oraz ziem polskich na zachód od wymienionych rzek, zaś co do innych kwestii nie zgłaszały propozycji. Obie strony uznały zgodnie narodowe interesy Litwy wobec Wilna.

Dokumenty podpisano nad ranem 24 sierpnia. Ribbentrop opuścił Moskwę o 14. Wystarczyło 25 godzin na całość rozmów, podpisanie dokumentów, bankiet i protokół dyplomatyczny wizyty państwowej...

Wrażenie w świecie było iście piorunujące! Po 18 latach istniejącej nagonki na Związek Radziecki, po hekatombie komunistów na polach Hiszpanii w walce z faszyzmem, po z górą dwóch latach zabiegów o nowych sygnatariuszy Paktu Antykominternowskiego (których przybywało), podpisano układ z wszelkimi cechami trwałości i przyjaznych stosunków obydwu stron!

W toku rozmowy: Stalin — Ribbentrop — Molotow — Schulenburg nieoczekiwanie wyszła sprawa Paktu Antykominternowskiego, i Ribbentrop, choć zażenowany tym wspomnieniem własnych wyczynów, zauważył, że „Pakt Antykominternowski jest zasadniczo wymierzony nie przeciwko Związkowi Radzieckiemu, lecz przeciwko demokracjom zachodnim. Wie, że rząd radziecki w pełni zdaje sobie z tego sprawę. Stalin wtrącił, że Pakt Antykominternowski w istocie rzeczy nastraszył przede wszystkim londyńskie City i drobnych kupców angielskich”. I czy nie miał racji Himmler, określając Ribbentropa mianem „diabła wcielonego”?

W tych okolicznościach Woroszyłow szybko zakończył rokowania z delegacjami wojskowymi z Zachodu, które samolotem opuściły z niczym Moskwę 28 sierpnia.

**O**D początku pojawiły się domysły co do tzw. tajnego protokołu. Powszechnie uważano, że porozumienie zostało zawarte, ale dopiero najbliższy czas miał przynieść nieco rozjaśnienia tych domysłów. Nie wszystkich...

Nie wiadomo, w której fazie rozmów padły nazwy czterech rzek, dlaczego „strefy interesów” aż w pięciu państwach zostały tak podzielone? Dlaczego dotąd nie powstało jakieś oficjalne stanowisko sygnatariuszy układu co do jego bezprzykładnego charakteru rozbioru Europy środkowo-wschodniej, że o rozpołowieniu stolicy Polski — Warszawy tylko wspomnie. Dlaczego dotąd kwestia tzw. tajnego protokołu jest objaśniana nadzwyczaj mętnie?

Kiedy rok temu, na początku sierpnia, estoński historyk H. Arumiae ogłosił na łamach gazety „Rahva Hääl” artykuł na temat tajnego protokołu, Walentin Falin, szef Agencji Prasowej „Nowosti”, złożył oficjalne dementi, że tajnego protokołu nie było. 23 lipca 1989 r. tenże sam Falin, ale już jako kierownik wydziału zagranicznego KC KPZR, w dyskusji telewizyjnej w stacji ZDF w RFN stwierdził, że „nie ma żadnych wątpliwości co do istnienia tajnego protokołu dodatkowego do układu Ribbentrop — Molotow zawartego 23 sierpnia 1939 roku”. Dodam, że program ZDF jest jednym z kanałów telewizji satelitarnej, odbieranym też w Polsce, ale zamilczę, co też W. Falin, postać znana w RFN jako dawniejszy radziecki ambasador, mówił o Polsce i polskich historykach, o polskiej polityce zagranicznej płk. Becka. Niemcy się zdumiali...

W końcu czerwca 1989 r. serwis agencji doniósł o wypowiedzi Andrieja A. Gromyki dla prasy amerykańskiej, w której miał stwierdzić, że W. M. Molotow zapewnił go, iż żadnego tajnego protokołu do układu nie było... Wiadomość ta zbulwersowała amerykańską opinię publiczną — przynajmniej tę jej część, która wodzi się z krajów bałtyckich i Europy środkowowschodniej — bowiem znany jest w USA fakt, że depesza nr 465 ambasador USA w Moskwie, Laurence A. Steinhardt, powiadomił Departament Stanu 24 sierpnia 1939 r. („przed południem”, jak zanotował na tekście szyfrant - telegrafista) o zasadniczych treściach tajnego protokołu, wymieniając też „wschodnią Polskę” jako strefę radzieckich interesów. Dodam, że Stany Zjednoczone dotąd nie uznały radzieckich decyzji włączenia państw bałtyckich do ZSRR i przez ostatnie 50 lat był to zawsze publicznie znany „punkt zaczepienia” do wzmożenia napięcia między Moskwą i Waszyngtonem.

Rada Najwyższa Łotewskiej Republiki Radzieckiej, przyjmując z entuzjazmem do wiadomości uchwałę Rady Najwyższej ZSRR z 29 lipca 1989 r. o „Deklaracji suwerenności Łotwy”, w toku debaty podjęła sprawę unieważnienia paktów Ribbentrop — Molotow z 23 sierpnia i 28 września 1939 roku z ich tajnymi protokołami. Kto następny wystąpi z podobną inicjatywą?

Co prawda w układzie Majski — Sikorski z 30 lipca 1941 r. jest w art. 1 stwierdzenie, że rząd ZSRR uznał oba te pakt z 1939 r. za nieważne, ale nie jest to wcale równoznaczne z zajęciem stanowiska wobec decyzji radzieckich organów państwowych, podjętych po tych układach w stosunku do wschodnich ziem II Rzeczypospolitej, decyzji dotyczących milionów Polaków, którzy znaleźli się na wschód od linii demarkacyjnej po 28 września 1939 r. Jest to już jednak inna historia.

Ribbentrop, sądzony w Norymberdze w gronie głównych niemieckich przestępców wojennych, nie był specjalnie indagowany na okoliczność paktów z Molotowem. Kto miał pytać? Prokurator radziecki? A może alianci z Zachodu, prowadzący w 1939 r. decydujące rokowania wojskowe za pośrednictwem emerytowanego admirała, kiedy chodziło o front na kontynencie wschodnioeuropejskim? Ujawniony w toku przewodu sądowego tekst tajnego protokołu (kopia) został przez Wysoki Trybunał oddalony jako dowód obrony. Trafiał do historiiografii, gdzie go starannie kwestionowano — na wschód od linii podziału Europy; albo równie starannie potwierdzano na zachód, ale od innej rzeki — Łaby...

Mieczysław Wieliczko

## LISTY

### Przyczyny polskiego kryzysu

(Dokończenie ze str. 10)

nie. O aferze tej w 1981 roku pisał „Kurier Polski” i naraz wszystko ucihło. Wg pocztę „pantoflowej”, ten pan wywiózł z kraju majątek na wiele miliardów dolarów. Miał list żelazny przy przekroczeniach granicy, a w swoim biurze\*bezpśrednie telefony z osobami z pierwszych stron gazet z kraju i zagranicy — jak oficjalnie podawały środki masowego przekazu.

6. Ile tracimy w transakcjach w handlu w ramach RWPG? „Relacje” skromnie opisywały niekorzystne transakcje w ramach tzw. rubla transferowego.

Z uwagi na obszerność tej wypowiedzi kończę tę wyliczankę, choć nie wyczerpałem w połowie tematu.

Jedno jest w 100 procentach pewne, że żadne reformy nic nie dadzą, jeśli nie zlikwiduje się tych i innych nieprawidłowości. Robotnik polski może zapracować się na śmierć i żadnej poprawy nie będzie, a odwrotnie — będzie większa inflacja, ponieważ więcej wywiezie się za granicę, więcej da się na pomoc dla innych krajów, a to spowoduje większy wypływ pieniędzy na rynek bez pokrycia, z jednoczesnym brakiem towarów w sklepach.

(Nazwisko i adres znane redakcji)

### Bierut

#### pułkownikiem NKWD?

„Relacje” doszły do mnie dopiero latem br., stąd opóźnienie niniejszego listu. Niniejszym, może trochę spóźniony, pragnę podzielić się z członkami dyskusji „Bierut: Mąż stanu, agent czy wykonawca” („Relacje” nr 12) pewną hipotezę, mianowicie: Bolesław Bierut był pułkownikiem NKWD. Skąd to wiem?

Czytałem książkę napisaną przez generała NKWD Orłowa pt. „Tajemnice Kremia”, wydana w NRF w latach 50., a będącą tłumaczeniem z angielskiego wydania w USA. Pan Orłow, generał NKWD, był szefem NKWD na terenie Hiszpanii w czasie wojny domowej. Widząc, że wszyscy funkcjonariusze i oficerowie, zaangażowani w Hiszpanii, znikają po powrocie do ZSRR, postanowił pozostać na Zachodzie. Jednak, aby mu się „krzywdą” nie stała, opisuje wiadome mu fakty polityki Stalina, składa to w depozyt w jakimś banku i pisze list do Stalina: „Jeżeli mi się coś stanie lub mojej, pozostałej w ZSRR rodzinie, wspomnienia zostaną opublikowane”. Nic mu się nie stało. Dopiero po śmierci Stalina opublikował je, uzupełniając wzmiankami o różnych kierowniczych osobistościach z krajów „demokracji ludowej”. Między innymi wymienił Bolesława Bieruta jako pułkownika NKWD.

Wiadomość wydaje się być wiarygodna, zważywszy że pan Orłow należał też do członków NKWD, „zatrudnionych” za granicą ZSRR. Poza tym w książce jest dużo opisu „kombinacji” NKWD w różnych krajach oraz dokładny opis zagłady „starego” NKWD i jacy to szlachetni panowie byli.

Książka była kiedyś w bibliotece miejskiej miasta Esslingen, obecnie nie ma po niej śladu w katalogu, znikła. Nie tracę nadziei, może uda mi się ją zdobyć. Wartości ww. informacji nie mogę ocenić, pozostawiam to bardziej kompetentnym. Jednak proszę uprzejmie o powiadomienie o tej książce członków dyskusji.

Na zakończenie pragnę wyrazić gratulacje co do „Relacji” podających gołe fakty. To mi się podoba — kawiarniane paplanie jest mi obce.

Przesyłam pozdrowienia i życzenia dalszej owocnej pracy ku dobru Rzeczypospolitej.

Stanisław Szczepaniak  
Esslingen (RFN)

# KARA ŚMIECHU

Ziemowit Michalski

**P**O powrocie z urlopu nabierało mi się spraw do załatwienia. Musiałem poświęcić na nie cały czwartek 17-ego sierpnia. Byłem u: hydraulika, elektryka, majstra samochodowego; w spółdzielni mieszkaniowej, maglu, redakcji „Relacji”; na uniwersytecie i poczcie. We wszystkich tych miejscach na cały regulator włączone było radio lub telewizor i nastawione na bezpośrednią transmisję obrad Sejmu. A zatem z przypadkowo wybranej przeze mnie próby społecznej sto procent badanych śledziło na bieżąco parlamentarną debatę.

Nie wiem czy mój wniosek o stu-procentowej oglądalności (słuchalności) potwierdzi CBOS, ale jeżeli płk Kwiatkowski poda procenty mniejsze niż napisane na etykietce spirytusu, napiszę do swojego posła (Stanisław Mańka) i swojej posłanki (Teresa Liszcz), żądając, aby postawili wniosek o zaprzestanie wyrzucania pieniędzy na

akcję deminformacji społecznej (pamiętajcie Państwo te sześćdziesiąt procent, które miało w wyborach oddać głos na „wielką koalicję”).

Dzięki peregrynacji od jednego punktu świadczenia usług do drugiego (zaliczyłem około połowy spraw, co — jak na 45-ty rok gospodarki planowego nonsensu — daje wynik wcale dobry) jestem zupełnie nieźle zaznajomiony z przebiegiem obrad. I muszę przyznać, że wcale nie dziwię się ludziom tkwiącym przed odbiornikami.

Podczas następnych obrad wyłączyłem telefon, wyrzuciłem psa na balkon, a dziecko na podwórko i osobiście dołączyłem do najliczniejszej widowni Europy. Bo i jest na co patrzeć. Równie dobrego scenariusza nie potrafiłby napisać Spielberg z Hitchcockiem. Są wątki sensacyjno-detektywistyczne (gdą posłowie tropią rezerwy budżetowe), są tragiczne (gdą jeden z posłów wylicza,

że chłopu polskiemu za zboże płaci się kilkanaście dolarów, a amerykańskiemu farmerowi ponad dwieście), bywają humorystyczne — na przykład wte dy, gdy generał Pudysz w odpowiedzi na interpelację poselką, dotyczącą bezprawnego wtargnięcia funkcjonariuszy SB do mieszkania i przeprowadzenia równie bezprawnego przeszukania, wyjaśnia, iż to obywatel sam zaprosił wzmiankowanych funkcjonariuszy do przeprowadzenia rewizji.

W ogóle najbardziej widowiskowym punktem programu są interpelacje poselskie. Po latach interpelacji „na okoliczność” i „w celu spowodowania” wreszcie podnoszone są kwestie autentyczne. Autentyczne w dwojakim sensie. Takie, które rzeczywiście istnieją, oraz takie, które autentycznie interesują społeczeństwo. Na pytania te nie można niestety odpowiedzieć, odczytując stosowny alkapit okólnika, programu czy uchwały. Przedstawiciela rządu, który w ten sposób chciałby się „wysiliżyć”, czeka najwyższa w działalności politycznej kara — śmiech sali, który jednoczy wszystkie kluby poselskie, a któremu — jak łatwo się domyślić — towarzyszy śmiech paromilionowej widowni.

W pewnym sensie można państwo-wym dostojnikom współczuć. Nie

zawsze winni przypominają gladiatorów rzuconych na arenę, gdzie już czekają lwy (lew Kuroń, lwica Liszczowa i lwiatko Bugajtko). Poprawię się. Nie zawsze osobiście winni skazani są na cierpienia za swą wiarę w demokratyczny centralizm, kierowniczą rolę i przewodnią siłę. Płacą zatem rachunek, przy którego zyroowaniu mieli swój udział. Czy z ich cierpienia — podobno uszlachetniającego — wyłoni się nowa jakość, czyli dostojnik państwowy, który za swoje zadanie uznaje służyć ludziom, wsłuchiwać się w ich oczekiwania i potrzeby — jeszcze nie wiadomo. A na tym przecież polega społeczna służba, różniąca się tym od służby wojskowej, że nie jest obowiązkowa.

PS. W pewnym popołudniowym (a więc nie będącym „organem”) dzienniku pewien autor bardzo się troska, czy aby ten nasz Sejm nie jest za bardzo rozdyktowany. W zasadzie z poglądami poniżej poziomu polemizowalności polemizować nie należy. Ponieważ jednak w tym samym numerze innego autora bardzo martwi rozpowszechnianie się inwektyw „stalinowiec”, a on nie wie, po czym takiego „s...” (stalinowca) rozpoznać, zaproponował Redakcji warto, aby urządziła wieczorek rozpoznawczy.

(Dokończenie ze str. 3)

od drugiej połowy września 1944 r. podjęło działalność pod przywłaszczoną sobie tradycyjną nazwą — Stronnictwo Ludowe. Potocznie określano je jako „czerwone”, „ruskie” lub „lubelskie”, natomiast kierownictwo i aktyw Polskiego Stronnictwa Ludowego w latach 1945—1947 nazywały je „fałszywym” Stronnictwem Ludowym.

Stronnictwo Ludowe w rzeczywistości nie miało własnej ideologii i programu, w praktyce było instrumentem realizacji interesów PPR (PZPR), zwłaszcza w dążeniu do zdruzgotania opozycji, której wpływy blokowały rozwój komunizmu na wsi. Opozycyjna postawa chłopów wobec tworzącego się nowego ustroju wynikała głównie z obaw o suwerenność narodu i niepodległość Polski, wolność jednostki ludzkiej i jej przekonań religijnych oraz o trwałość indywidualnego gospodarstwa rolnego.

Wśród szeregowych członków i terenowego aktywu SL żywe były ustrojowe koncepcje agrarystyczne i wynikające z nich dążenia do niezależności ruchu ludowego, bowiem tylko taki ruch mógł spełniać rolę współgospodarza kraju. O tych tendencjach mogą świadczyć dyskusje na tzw. zjeździe w Lublinie we wrześniu 1944 r., podczas Kongresu SL w styczniu 1946 r., masowe przechodzenie członków tego Stronnictwa do PSL (ponad 80 proc.), opór niektórych organizacji i instancji SL wobec nacisków zmierzających do potępienia Mikołajczyka jako zdrajcy narodu i ruchu ludowego (po jego wyjeździe z Polski). Nie ci jednak którzy czuli się ludowcami, kierowali Stronnictwem Ludowym — ster ideowy i polityczny mocno trzymali ortodoksyjni komuniści, kryptokomuniści i „kadzichłopi” z okresu międzywojennego.

Myśl agrarystyczną i niezależne postawy części członków SL usuwano w sposób ukryty i jawny: poprzez delegowanie działaczy pepeerowskich do aparatu i władz Stronnictwa, nakreślanie przez kierownictwo partii wytycznych do deklaracji ideowo-politycznych SL, reżyserowanie przebiegu obrad Rady Naczelnej i Kongresu SL, uczestnictwo przedstawicieli PPR (PZPR) w zakładaniu kół Stronnictwa i w weryfikacji jego członków, wpływanie na typowanie kandydatów z ramienia SL na posłów do Krajowej Rady Narodowej i Sejmu Ustawodawczego (w sensie ilościowym i personalnym). Są to tylko niektóre metody sterowania Stronnictwem, które po odejściu grupy Bańczyka do PSL stało się jednoznacznie ekspozyturą polityczną nowego ładu. Fakt przejścia grupy Bańczyka do PSL potwierdzał słusność tezy o wyłącznym prawie tego Stronnictwa do reprezentowania interesów wsi i ruchu ludowego.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w transmisyjnych organizacjach politycznych istnieć zjawisko dyktomii między naczelnymi władzami i aparatem partyjnym a członkami, co powoduje negatywne konsekwencje dla tych partii i ich siły hegemonicznej. Tak było w przypadku SL, później „odrodzonego” PSL, PPS czy SD. W „Komunikacie” (informatore do użytku wewnętrznego PSL) z sierpnia 1946 r. pisano m. in.: „PPS zesłała do roli przybudówki PPR. Dlatego nie ma znaczenia w życiu państwowym, gdyż ani masy robotnicze nie darzą ją zaufaniem, ani też w aparacie państwowym nie ma odpowiedniego wpływu [...] Doły są niechętnie

dla polityki poddania się PPR, chcą współpracy z PSL”.

Działalność SL przyniosła wsi, chłopom i Polsce więcej szkody niż pożytku. Biorąc pod uwagę kulturowane tradycje, wartości preferowane w dokumentach tego Stronnictwa oraz działalność polityczną, można powiedzieć, że SL było chłopskim ugrupowaniem (kryptokomunistycznym). Jego czołowi przedstawiciele nawoływali aparat bezpieczeństwa i milicji do rozprawy z opozycją, domagali się usunięcia ze szkół i uczelni nauczycieli sympatyzujących z organizacjami niekomunistycznymi, atakowali w końcu lat czterdziestych Kościół katolicki — określając go mianem „nieugłaskanego wroga”. SL było współodpowiedzialne za represjonowanie działaczy ZMW RP „Wici”, za wymuszenie rezygnacji z założeń ideowych tego Związku,

## LUDOWCY PRAWDZIWI I FAŁSZYWI

wreszcie za likwidację ruchu wiciowego i piętnowanie byłych działaczy wiciowych, którzy nie mogli znaleźć dla siebie miejsca w Związku Młodzieży Polskiej.

Dopóki Polskie Stronnictwo Ludowe było realną siłą polityczną, kierownictwo Stronnictwa Ludowego w obawie o liczebność swoich szeregów nie odważyło się otwarcie atakować agraryzmu ani oficjalnie uznać dominującej roli klasy robotniczej i jej partii w życiu społeczno-politycznym. W latach 1944—1947, szermując wypracowanymi z całości programów tradycyjnego ruchu ludowego hasłami, chcieli sprawić wrażenie, iż jest kontynuatorem myśli ludowej. W wystąpieniach posłów SL na forum Krajowej Rady Narodowej i Sejmu Ustawodawczego w tym okresie akcentowano ochronę własności i inicjatywy prywatnej, oparcie życia społeczno-gospodarczego wsi na zasadach spółdzielczych, potrzebę rozparcelowania majątków państwowych, umocnienia samorządu terytorialnego i zawodowego.

Od początku swego istnienia Stronnictwo Ludowe faktycznie popierało antychłopskie decyzje władz partyjno-państwowych, a między innymi: powstanie Związku Samopomocy Chłopskiej, likwidację Izby Rolniczych, tradycyjnej spółdzielczości wsi, upaństwowienie ruchu spółdzielczego i wreszcie propagowało likwidację prywatnej własności w rolnictwie i innych działach gospodarki narodowej.

Za rzecz pozytywną należy uznać postulaty Stronnictwa Ludowego, zgłoszone w latach 1944—1947 na forum parlamentarnym, dotyczące konstytucyjnego zagwarantowania trwałości rodzinnego gospodarstwa chłopskiego i samorządu rolniczego. W tym okresie, przynajmniej werbalnie, Stronnictwo domagało się wzmocnienia

podstaw finansowych rad narodowych, zwiększenia ich roli w stosunku do organów administracji państwowej. Wyrazem niekonsekwencji w działalności SL były w tym względzie: popieranie reorganizacji rad narodowych, rezygnacja z reaktywowania samorządu gromadzkiego, zgoda na przyjęcie ustawy o samorządowym funduszu wyrównawczym (1948 r.), która scentralizowała dotowanie związków samorządu terytorialnego w jednym organie kierowniczym i nadzorującym — Radzie Państwa.

Do czasu wyborów do Sejmu w 1947 r. SL akcentowało potrzebę równomiernego rozwoju rolnictwa i przemysłu, ekwiwalentnej wymiany dóbr między miastem a wsią. Przestrzegało też rząd przed ujemnymi skutkami nadmiernego obciążenia finansowego wsi, lekceważenia jej odbudowy ze zniszczeń wojennych, braku świadczeń socjalnych

dla rolników. Na Kongresie Stronnictwa w styczniu 1946 r. sformułowano tezę, że dopóki nie wzrosnie siła ekonomiczna wsi (osłabiała ją: niskie ceny artykułów rolnych, świadczenia rzeczowe, brak gratyfikacji za dostarczone artykuły, brak inwentarza żywego i martwego, przesadnie wysokie ceny usług rolniczych), dopóty nie nastąpi stabilizacja życia społeczno-gospodarczego w Polsce. Unowocześnienie rolnictwa, zwiększenie jego rentowności wiązano także z rozwojem przemysłu, komunikacji i łączności oraz szeroko rozumianego sektora usług.

W latach 1948—1949 SL — jako organizacja ty-powo fasadowa — zaangażowało się w unifikację spółdzielczości, kolektywizację rolnictwa indywidualnego, rozwój państwowych gospodarstw rolnych, tzw. walkę klasową na wsi. **Położenie nacisku na „walkę klasową” czyniło zorganizowaną przemoc cechą charakterystyczną demokracji ludowej jako systemu społecznego.**

Podstawową siłą legalnej opozycji było Polskie Stronnictwo Ludowe, będące bezpośrednią kontynuacją przedwojennego SL i konspiracyjnego SL „Roch”, czynnego w okupowanym kraju w latach 1939—1945. PSL było partią katolicką i narodową, jej koncepcje programowe, oparte na założeniach agraryzmu, były nie do pogodzenia z ideologią ruchu komunistycznego.

Antoni Mieczkowski  
(Dokończenie nastąpi)

Doc. dr hab. Antoni Mieczkowski jest prawnikiem Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych UMCS.

### W NUMERZE 33 OPUBLIKUJEMY:

- 1939: PO ROZBICIE POLSKI ● ZAMORZOWANIE PSL-u ● WOJNA NA MURACH ● MAMO, DLACZEGO ZABIŁAŚ?
- ROZMOWA Z AUTOREM KOMNIKA BIERUTA ● WIWSEKCJA POLSKIEJ ŚWINI ● LUBELSKA WALENTYNOWICZ

# TV

## CZWARTEK 24 SIERPNI PROGRAM I

8.50 Domator: Borowiki, kurki i inne  
9.00 Kino Teleferii: „Złote pantofelki” (1) — film prod. ZSRR  
10.00 DT — wiadomości  
10.10 „Policjanci z Miami” — film prod. USA  
16.45 Program dnia  
18.30 Iskrą do Leningradu — wojakowy program dok.  
17.15 Teleexpress  
17.30 Z wiatrem i pod wiatr — magazyn żeglarski  
18.00 Ojczyzny mojej pieśni śpiewam — recital Paulosa Raptisa  
18.50 Bez granic  
19.00 Dobranoc: Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa  
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy  
19.30 DT  
20.05 „Policjanci z Miami” — film prod. USA. Reż. Thomas Carter. Wyk.: Don Johnson, Philip Michael Thomas, Sandra Santiago  
21.40 Kroniki PAT: Tak było...  
21.55 Pegaz  
22.45 Zawsze po 21-szej  
23.25 DT — echa dnia  
**PROGRAM II**  
17.55 Program dnia  
18.00 Program lokalny  
18.30 „Strachy na lachy” (15) — serial animowany prod. ang.  
19.00 Magazyn „102”  
19.30 „Świat roślin” (9) — „Rośliny wodne” — serial przyr. prod. CSRS  
20.00 Studio sport: Wielki tenis  
21.00 Ekspres reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Ucieczka z Sobiboru” (1) — film prod. ang. Reż. Jack Gold. Wyk.: Alan Arkin, Rutger Hauer, Joanna Pacuła  
21.55 Komentarz dnia

## PIĄTEK 25 SIERPNI PROGRAM I

8.50 Domator: Borowiki, kurki i inne  
9.00 Zielone Teleferie  
9.30 Kino Teleferii: „Arabella” — „Zgubne skutki cywilizacji” — serial prod. CSRS  
10.00 DT — wiadomości  
10.10 DT — dodatek gospodarczy  
10.25 „Ach, ty moja kochana” — film prod. NRD  
13.15 Już nie szumią na gór szczyty — film dok.  
15.40 Domator: Przed weekendem  
16.40 Program dnia  
16.45 Intersygnal  
17.15 Teleexpress  
17.30 Tutaj czas nie goni mnie „Zayazd”  
18.00 „Hatra” — film dok. Józefa Gębskiego  
18.30 Telewizyjny informator wydawniczy  
18.50 Bez granic  
19.00 Dobranoc: Przygody Gapulki  
19.10 Monitor rządowy  
19.30 DT  
20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Zabawna pani” — musical prod. USA. Reż. Herbert Ross. Wyk.: Barbara

Streisand, Jame Caan, Omar Sharif

22.30 Kroniki PAT: Tak było...  
22.45 Czas — magazyn publicystyczny  
23.15 DT — echa dnia

## PROGRAM II

17.55 Program dnia  
18.00 Program lokalny  
18.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego  
19.00 Konwój  
19.30 Dookoła świata: W Bangladesu i w Izraelu  
20.00 Studio sport: Mistrzostwa Świata w kajakarstwie — Płowidw '89  
20.50 Bravo dla Grażyny Brodzińskiej  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Orkiestry dęte w Clermont Ferrand — reportaż  
22.30 Filmy z Humphreym Bogartem „Mroczne przejście” — film prod. USA. Reż. Delmer Daves  
0.10 Komentarz dnia

## SOBOTA

### 26 SIERPNI

**PROGRAM I**  
8.00 Tydzień na działce  
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny  
8.55 Kino Teleferii: „Przygody dobrodusznego smoka” — „Nie taki straszny smok” — film prod. węgier.; „Siedem życzeń” (6) — „Kłątwa bogini Bast” — serial TVP  
10.30 DT — wiadomości  
10.40 Stare, nowe, najnowsze  
11.10 Bellona — wojskowy magazyn publicystyczny  
11.40 Telewizyjny koncert życzeń  
12.10 Flesz  
12.30 Telewizyjny Teatr Prozy z cyklu: „Mówi Chandler” — „Tajemnica jeziora” (2). Reż. Mariusz Malinowski. Wyk.: Tadeusz Huk, Krzysztof Majchrzak, Karol Strasburger, Elżbieta Kijowska  
13.35 Prezydenci: William McKinley  
14.05 Komedie, komedie, komedie: „Cafe pod Minogą”  
15.35 „Polska walcząca 1939—1945” — „Droga do wojny” (1) — program studyjnofilmowy  
16.35 Losowanie Dużego Lotka  
16.45 Teleexpress  
17.00 Studio sport (Mistrzostwa Świata w kolarstwie, Mistrzostwa Świata w kajakarstwie, Mistrzostwa Świata w zapasach w stylu klasycznym)  
19.00 Dobranoc: Przygod kilka wróbla Cwirka  
19.10 Z kamera wśród zwierząt: „Z powrotem do domu”  
19.30 DT  
20.05 Sobotni seans filmowy: „Boska istota” — melodramat prod. wł. Reż. Giuseppe Patroni Griffi. Wyk.: Laura Antonelli, Terence Stamp, Marcello Mastroianni, Michele Placido  
21.55 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielnor

staw Hasek „Spotkania ze Szwajkiem” — (6) — „Czy to pies?”  
22.25 Telewizyjny przegląd sportowy  
22.45 Baw się razem z nami w disco  
23.30 Telegazeta  
23.35 Kino nocne: „Prawo gwałtu” — dramat społeczno-obyczajowy prod. USA. Reż. William Wyler. Wyk.: Lee J. Cobb, Lee Majors, Barbara Hershey

1.10 Zakończenie programu

## PROGRAM II

11.30 Konkurs 5 milionów — ogólnopolskie współzawodnicstwo sportowe szkół podstawowych  
12.15 Trzy godziny z TV Katowice  
15.15 Bariery  
15.40 Program dnia  
15.45 Małe kino: „Szerpowie” — film dok. Szymona Wdowiaka  
16.15 5 — 10 — 15 — program dla dzieci i młodzieży  
17.00 Konwój  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Zza kulis Sopotu — reportaż  
19.30 Balet Narodowy Kuby prezentuje  
20.00 Studio sport (Mistrzostwa Świata w kajakarstwie, Mistrzostwa Świata w zapasach w stylu klasycznym)  
21.00 Barwy jazzu: Jazz nowoczesny  
21.30 Panorama dnia  
21.55 „Chateaufallon (16) — serial prod. franc.  
22.45 Komentarz dnia

## NIEDZIELA

### 27 SIERPNI

**PROGRAM I**  
8.15 Tydzień  
8.55 Kino Teleferii: „Fantastyczna ciotka” — film prod. węgier.  
10.30 DT — wiadomości  
10.30 „Ludy Ziemi” (6) — „Yanomami” — serial dok. prod. hiszp.  
11.35 Kraj za miastem  
12.05 Telewizyjny koncert życzeń  
12.50 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty  
13.25 Morze — magazyn  
13.45 Próbuje przeniknąć rytm serca pradawny — program o Zenonie Kosidowskim  
14.10 Pieprz i wanilia: Nieznany kraj — „Jackowo”  
14.55 Studio sport (Mistrzostwa Świata w kolarstwie, Mistrzostwa Świata w kajakarstwie)  
15.35 „Panna dziedziczka” (15) — serial prod. brazył.  
17.15 Teleexpress  
17.30 Studio sport (Mistrzostwa Świata w kolarstwie, Mistrzostwa Świata w zapasach w stylu klasycznym — finał)  
18.40 Antena  
19.00 Wieczorynka: Trzy misie  
19.30 DT  
20.05 „Światła kabaretów” (7 — ostatni) — serial prod. ang.  
21.00 Siedem dni: Świat  
21.30 Sportowa niedziela  
22.30 Kinomania  
23.05 Telegazeta

## PROGRAM II

11.25 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)  
12.00 Film dla niesłyszących: „Światła kabaretów” (7 — ostatni) — serial prod. ang.  
12.55 Bronili polskiego nieba — wojskowy program dok.  
13.25 Jutro poniedziałek  
13.55 Program dnia  
14.00 Polska Kronika Filmowa  
14.10 100 pytań do...  
14.45 Aktualności kulturalne: Muzyka w starym Krakowie  
15.00 „Polacy” — „Struna” — film dok. o Tadeuszu Siewaku  
15.30 Studio sport: Wyciągi konne w Berlinie  
15.45 Niedziela w Plymouth — reportaż  
16.00 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie

16.45 Konwój  
17.15 Studio sport: Wyciągi konne

17.30 Bliziej świata — przegląd telewizji satelitarnych  
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic: Kapitan Żegluga Wielkiej — Tadeusz Kutek  
19.30 Galeria „Dwójki”; Jerzy Szot  
20.00 Studio sport: Piłka w grze  
21.00 Usta milczą, dusza śpiewa — popularne arie i duety operetkowe śpiewają Grażyna Ciopińska i Bogusław Morka  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Queenie” (5 — ostatni) — serial prod. amerykańsko - angielskiej  
22.35 Komentarz dnia  
22.40 Studio sport: Tenis ziemny — Złota Polska Jesień — Sopot '89

## PONIEDZIAŁEK 28 SIERPNI

### PROGRAM I

17.10 Program dnia  
17.15 Teleexpress  
17.30 Skarbiec — magazyn historyczny  
18.10 Echa stadionów  
18.50 Bez granic  
19.00 Dobranoc: Mysz i wielbiad  
19.10 Gorące linie  
19.30 DT  
20.05 Spektakl na bis: Jean Mazarine „Kolabo-song”. Reż. Grzegorz Warchoń. Wyk.: Małgorzata Pieczyńska, Janusz Michałowski, Adam Ferency, Grzegorz Wons, Krzysztof Wakuliński, Małgorzata Niemen i inni  
21.35 Kroniki PAT: Tak było...  
21.50 Jacy jesteśmy? — program public.  
22.15 Piknik Country — Mragowo '89  
23.00 DT — echa dnia

### PROGRAM II

17.55 Program dnia  
18.00 Program lokalny  
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych  
19.00 Ojczyzna - polszczyzna: Do najmłodszych — Przed nowym rokiem szkolnym  
19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień  
19.30 Życie muzyczne: Warsztaty perkusyjne  
20.00 Teletrans  
20.40 Festiwal Muzyki Łańcut '89 — nadzwyczajny recital Garricka Ohlssona  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Biografie: „Z drugiej strony raju. Historia Scotta i Zeldy Fitzgeraldów” — film dok. prod. angielsko-amerykańskiej  
22.35 Komentarz dnia

## WTOREK 29 SIERPNI

### PROGRAM I

8.50 Domator: Marynaty  
9.00 Teleferie: „Wakacje z Neptunem i Ikarem”  
9.30 Kino Teleferii: „Chłopcy z naszego osiedla” (6) — „Myślenie ma przyszłość” — serial prod. węgier.  
10.00 DT — wiadomości  
10.10 DT — dodatek gospodarczy  
10.25 „Gdańsk '39” (3) — „Koł Trojański” — serial TVP  
17.10 Program dnia  
17.15 Teleexpress  
17.30 Z wiatrem i pod wiatr — magazyn żeglarski  
17.55 Kapitan Kaługin de-

peszuje do Stalina — program dok.

18.20 „Gliniane tablice, czyli cztery stolice Starożytnej Asyrii” — film dok. Józefa Gębskiego  
18.50 Bez granic  
19.00 Dobranoc: Przygody Bączka i Pączka  
19.10 Magazyn Konsumentów „Stop”  
19.30 DT  
20.05 „Gdańsk '39” (3) — „Koł Trojański” — serial TVP  
21.05 Kroniki PAT: Tak było...  
21.20 Suplikacje września — program poetycki  
21.50 Wokół Wielkiej Sceny — magazyn operowy.  
22.40 DT — echa dnia  
**PROGRAM II**  
17.55 Program dnia  
18.00 Program lokalny  
18.30 Jarocin — reportaż  
19.30 Blisko nieba: Na skrzydłach  
20.00 ABC — teleturniej językowy  
20.30 Wietnam — program dok.  
21.00 Studio sport  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Studio Solidarność  
22.30 „Miotacz noży” — film fab. prod. jugosl.  
24.00 Komentarz-dnia

## ŚRODA 30 SIERPNI

### PROGRAM I

8.50 Domator: Marynaty  
9.00 Teleferie najmłodszych: Zgadywanie na ekranie  
9.35 Kino Teleferii: „Legenda o zartowniszu zwanym Kurento” (3) — serial prod. jugosl.  
10.00 DT — wiadomości  
10.10 „Niepoprawny igrarz” — film fab. prod. ZSRR  
16.45 Program dnia  
16.50 Losowanie Express i Super Lotka  
16.55 Telewizyjny informator wydawniczy  
17.15 Teleexpress  
17.30 „A las czeka” — film dok.  
17.45 „Król komputerów” — film prod. TVP  
18.50 Bez granic  
19.00 Dobranoc: Kolorowy świat Pacyka  
19.10 Boczny drogami  
19.30 DT  
20.05 „Kronika wypadków miłosnych” — film fab. TVP. Reż. Andrzej Wajda, Wyk.: Paulina Młynarska, Piotr Wawrzyńczak i inni  
22.05 Kroniki PAT: Tak było...  
22.20 Spojrzenia  
22.50 Studio sport: Mistrzostwa Świata w pięcioboju nowoczesnym mężczyzn — Budapeszt '89 (szermierka)  
23.10 DT — echa dnia

### PROGRAM II

17.55 Program dnia  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Świat festynów  
19.00 Przeboje Teatru Muzycznego w Gdyni: „Me and my girl” — reportaż  
19.30 Zwierzęta wokół nas: Podaj łapę  
20.00 Konwój  
20.30 Festiwal Chopinowski — Duszniki '89  
21.00 „Z ziemi polskiej” — film dok. Andrzeja Chiczewskiego  
21.30 Panorama dnia  
21.45 997 — kronika milicyjna  
22.45 „W labiryncie” (35) — serial TVP  
23.15 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciotek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawłuszuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stepien (fotoreporter), Leszek Wiąglewski, Izabella Wianowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.

ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.

WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 253-30.

DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie swraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie dla kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.

Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830.

Zam. 1192. 24.07.1989 r. B-5.

# A MNIE JEST ŻAL

Henryk Pająk

**S**ZKODA mi marksizmu-komunizmu. Taka piękna utopia. Tyle nadziei. Tyle rewolucji, kontrrewolucji. Dziesiątki milionów ofiar. Udręka i cierpienia miliardów. Rewolucja lutowa i październikowa w Rosji. Próby przewrótów rewolucyjnych w Niemczech i Austrii w latach dwudziestych. Hiszpańska wojna domowa w latach trzydziestych. Kontrrewolucyjne serie z lat powojennych w NRD, w Polsce, na Węgrzech, w Czechosłowacji, Schizma Jugosławii. Potem przyczółki na Kubie, w Angoli, Egipcie, Afganistanie, Granadzie, Nikaragui. Eksport na wielką, globalną skalę. Bez liczenia się z kosztami: ludzkimi, ekonomicznymi, politycznymi. Zgnili kapitalizm wydawał ostatnie tchnienie, osaczony od Pacyfiku po Atlantyck.

I co? I nic. Saldo zerowe. Punkt wyjścia. Erozja, rozpad, kac, poczucie winy i klęski.

Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: utopia. Los taki jak los każdej utopii. Piękne o-mamy są zawsze ex definitione nieziszczalne, choć często jakże krwawe. Ale choć nieziszczalne, są — niezniszczalne. Wieczne. Rozgromione, skompromitowane w jednej wersji, w jednej mutacji, odradzają się w innych, następnych.

Marksizmu-komunizmu nie wymyślił Marks. On go tylko nazwał po swoim. Przybrał w dziewiętnastowieczne słowa. Bo komunizm, czyli idea równości i szczęścia jest tak sta-

ra, jak stare są dzieje gatunku ludzkiego. Przenika ona wszystkie wielkie religie, systemy filozoficzne, społeczne. W wulgarnym nazwaniu Chrystusa wielkim prekuzorem komunizmu, czy wręcz komunistą, tkwi jądro tragicznej prawdy, choć w tym przypadku przeniesionej w zaświaty, w życie po. Marks błuznierczo, niecierpliwie i bardzo chwyliwie wykrzyknął: Tu! Teraz! Za tego życia!

No i zaczęło się. A jak skończyło — widać jak na dłoni.

Kolejny zmierzch, a jak chcą niektórzy — zgon komunizmu jednych wprawia w szal radości, drugich w ciężką desperację. Jeszcze inni kwitują to wzruszeniem ramion: przecież wszystko płynie, nic nowego pod słońcem.

Ale myślą się chyba wszyscy. To nie żaden zgon. To kończy się kolejna wersja odwiecznej zwodniczej nadziei na zbawienie za życia, tu, teraz; na rajską urawniówkę, gdzie wszystkim wedle potrzeb czy wręcz zachcianek, choćby na przekór logice, wbrew prawom arytmetyki czy ekonomii.

Ta wersja wypaliła się, dograła jak stara oklepana fraza podwórkowego grajka. Wkrótce ktoś inny wymyśli nową. Może lepszą czyli bardziej przekonującą. Może na jakiś czas, na jakimś fragmencie globu uda się skonstruować państwo nowego komunizmu. Może tym razem będzie on mniej morderczy, bardziej ludzki, ufrzyzowany na miarę oczekiwań. Może nawet zwycięży. I to siłą swych obietnic, może nawet faktów społeczno-gospodarczych, a nie samych czolgów i łagrów.

I może wreszcie zapanuje biblijna jedna owczarnia i jeden pasterz.

W połowie tego wieku byliśmy diabelnie bliści tej biblijnej owczarni i biblijnego jedynego pasterza. Ale Bóg powiedział: Niej Zirytowała go sama diaboliczność tej gigantycznej uzurpacji.

Bóg i diabeł, dobro i zło. Przejmująca antynomia ludzkiego losu — jak chcą niektórzy. Absurd psychologii człowieka i psychologii zbiorowości, jeśli taka istnieje. Można pracować wspólnie, ale nie można pracować bez indywidualnej motywacji, celu. Czy Marks o tym nie wiedział? Z całą pewnością wiedział. I w tym tkwi diaboliczność jego postaci i jego systemu. Gigantyczne oszustwo. Dwudziestowieczna odsłona komunizmu miała za zadanie zniszczyć Boga, rozumianego przez nią jako wielką konkurencyjną utopia, utrzymująca się przy życiu skandalicznie długo, przez całe tysiąclecia. Czyniono to poprzez fizyczne niszczenie jej kapłanów oraz jej instytucji. Przez niszczenie i rozkład dwóch bastionów — rodziny i moralności.

Komunizmy wieków następnych zapewne nie popełnią tego błędu. Nie wystąpią z programową walką z Bogiem. Możliwe nawet, że odkupią od nazizmu jego sławetną maksymę: „Got mit uns”. Wtedy okazały się nieporównanie bardziej niebezpieczne, bo za przeciwnika będą miały już tylko człowieka, jednostkę i jego społeczeństwo. Znów powojnie jednym pastrem i jedną owczarnią.

Ale czy za cenę dziesiątków milionów ofiar?

A jednak mi żal. Te wspaniałe partitaki. Ta równość. Ten cel. Ta prostota. Bezinteresowna szlachetność. W imię, dla dobra ludzkości!

Chyba się zapiszę. Jeżeli komuniści staną się mniejszością, będę po ich stronie. Jeśli zostaną zdelegalizowani, wyjeżdżam do Szwajcarii lub Poronina i zaczynam wszystko od nowa!

## Patrzenie pod kątem

**P**AMIĘTAM, iż kiedy przed laty zdawałem egzamin do liceum ogólnokształcącego, jako temat pracy pisemnej z języka polskiego wybrałem sobie: „Co pokazałbyś cudzoziemcowi w Lublinie?” W dziecięcej swej prostoduszności napisałem wypracowanie, które było swego rodzaju przewodnikiem po miejscach najbardziej znanych w naszym mieście i tych, którymi mogliśmy się wówczas pochylać. Pomiąłem natomiast wszystkie, które powodów do dumy i chwały nie przynosiły. Mijały lata i moje spojrzenie na miasto rodzinne jakby się nieco wyostrzało, stawało bardziej krytyczne. Pomyślałem zatem, że warto chyba napisać raz jeszcze na ten temat. Teraz, po latach.

Zakładam, iż cudzoziemiec przyjechałby do Lublina pociągiem, a co za tym idzie — byłby już z lekką szokowaną brudem panującym i niemożnością umycia się na dworcu. Toteż — ażeby oszczędzić mu na razie kontaktu z komunikacją miejską — do hotelu zawiózłbym go taksówką. Ponieważ dzień byłby upalny, cudzoziemiec zapragnąłby otworzyć okno w samochodzie i bardzo szybko odkryłby brak służących do tego celu klamek, co jest regułą w lubelskich taksówkach. Pomyślałby jednak, iż usterka ta powstała przed chwilą i właściciel nie zdążył jej jeszcze naprawić, toteż zapewne nie komentowałby tego faktu. Po przyjeździe na miejsce cudzoziemiec zdziwiłby się moją hojnością, ujrawszy, iż placę kierowcy o wiele więcej, niż wskazuje taksometr. Ażeby nie stracić opinii człowieka z szerokim gestem, nie wyjaśniałbym, iż w sytuacji, gdy opłaty za przejazd taksówką zmieniają się średnio trzy razy do roku, taksówkarze już dawno zrezygnowali z przerabiania taksometrów.

Po odświeżeniu się w hotelu wyruszylibyśmy na spacer po ulicach miasta. I już wkrótce cudzoziemiec zadałby mi pierwsze pytanie. Czym różni się od owego łożącego co kilkadziesiąt metrów, posamykanego na głucho

budki? Wyjaśniłbym wówczas, iż są to kioski, w których przed laty sprzedawano gazety, papierosy, zapalki i inne podobne drobiazgi oraz że kiedyś były one otwarte, i to do wieczora. Dlaczego teraz są pozamykane — dodałbym — jest zagadką, czekającą na rozwiązanie. A reszta nie ma to większego znaczenia, albowiem nawet jeśli jakimś cudem natrafi się na kiosk otwarty, to papierosów i zapalek i tak w nim nie ma. Aha — powiedziałby cudzoziemiec — to znaczy, że papierosy kupujecie w automatach. Nie — odrzekłbym — jak dotychczas insta-

najbliższej restauracji, powiedzmy iż byłaby to „Wisła”. Tam — o ile byłby w ogóle wolny stolik — oczekiwalibyśmy pół godziny na podejście doń kelnerki, następne pół godziny na realizowanie zamówienia i wreszcie trzecie pół godziny na wystawienie rachunku. Przyzwyczajonemu do szybkiej obsługi cudzoziemcowi wyjaśniłbym, że pierwsza godzina oczekiwania służy — zamiast aperitif — zaostreniu apetytu, zaś oczekiwanie na rachunek spowodowane jest zasadą traktowania konsumenta jako gościa, od którego wręcz nie wypada brać pieniędzy i

## CO POKAZAŁBYM CUDZOZIEMCOWI W LUBLINIE?

Andrzej Z. Kowalczyk

luje się u nas jedynie automaty telefoniczne, przeważnie zresztą nie działające. Papierosy zaś „załatwiamy” w bardzo różnych miejscach.

Zmęczony nieco spacerem, cudzoziemiec zażyłby sobie, ażeby dalszą drogę odbyć jakimś środkiem lokomocji. Przystanęlibyśmy tedy na najbliższym przystanku MPK. Już po około 45 minutach przyjechałby autobus, na który czekalibyśmy. Weisnąwszy się doń, dalszą drogę przebylibyśmy w warunkach normalnych, to znaczy w niesamowitym tłoku i zaduchu. Po dojechaniu na miejsce wyjaśniłbym ledwie żywym cudzoziemcowi, że wprawdzie Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne nie potrafi jak dotychczas zorganizować rytmicznego i sensownego kursowania swych pojazdów, ale za to ma bardzo duże osiągnięcia w dziedzinie podnoszenia cen biletów. A jak wiadomo, trudno jest mieć wszystko naraz.

Po pewnym czasie cudzoziemiec poczułby głód. Wstąpiłbyśmy zatem do

tylko twarda ekonomiczna rzeczywistość zmusza do tego dzielnych pracowników uspołecznionej gastronomii, co jednak — jak widać — czynią z największą niechęcią.

I tak oto nastalby wieczór. Cudzoziemiec zapytałby mnie, czy w Lublinie jest jakieś nocne życie. Wówczas zaprowadziłbym go do najbliższego sklepu mięsnego i wyjaśniłbym, iż ludzie, których tu widzi, czekają w nadziei, iż następnego dnia coś kupią, ale są zadowoleni, albowiem gospodarke żywnościową mamy urynkowaną. Dodałbym mimochodem, iż nawet się z tego wszystkiego nie można upić, bowiem wódki także w sklepach nie ma.

Cudzoziemiec popatrzyłby na mnie z niejakim współczuciem i powiedziałby, iż mimo wszystko nie powinienem upadać na duchu, albowiem pochodzę z narodu, który dał światu Kopernika, Chopina itp. Niemniej wyjechałby już następnego ranka. I dalsze zwiedzanie diabli wzięli.

## „JAK ZAROBIM DWIEŚCIE ZŁOTYCH...”

...śpiewają Szczepcio i Tońcio, a telewizja z radością piosenkę tę nadaje. Cwaj batiary informują w niej, że w przypadku zarobienia dwustu złotych przeznaczyliby je na cel wiadomy, wydając wielki bal.

Co byliby na tym balu?

Szczepcio i Tońcio mogli zamienić dwa „poniatowszczeni” na siedemnaście litrów wódki (à 4 złp) oraz — zakąsić trzeba — na krowę (130 złp) lub półtora wiepra (à 80 groszy kilogram wagi żywej).

W 1950 roku — przez krótką chwilę, zanim zakąska zniknęła z rynku — ich dzieci mogły za dwa banknoty z czerstwą twarzą robotnika kupić litr wódki (à 68 zł) — już bez literki „p” na końcu) i blisko pięć kilogramów kiełbasy (à 11 zł).

Starsze wnuki, żegnając Gomułkę, mogły wymienić dwa „waryńskie” na litr wódki (à 130 zł) i półtora kilograma kiełbasy (à 44 zł).

Wnuki młodsze żegnały Gierka, zamieniając „dąbrowskiego” na pół litra wódki (à 150 zł) i półtora kilograma sera żółtego.

W roku ubiegłym, urządzając wielki bal, mogły okrążyć stół suto zastawić butelką piwa i serkiem topionym.

A anno Domini?

Po ostatnich podwyżkach kupiły oranzadę.

A co z resztą?

Resztę koledzy dołożyli!

Emzet

## GOŚCINNOŚĆ

**S**TARSI kibice pamiętają jeszcze czasy, gdy polski żużel liczył się w świecie. Nasi zawodnicy zdobywali medale — także złote — w mistrzostwach świata, z powodzeniem startowali w lidze brytyjskiej, która — co do tego nie ma żadnych wątpliwości — jest najsilniejszą ligą żużlową na świecie. Przewagi te należą już do historii.

Od dłuższego czasu Polska jest żużlowym „skrajem trzeciego świata”. Choć i to stwierdzenie wygląda na zbyt optymistyczne. Być może bliższe prawdy byłoby określenie poziomu, jaki osiągnął nasz speedway, jako dno, na którym nie można już usłyszeć pukania od dołu.

Mogliśmy się o tym przekonać podczas transmisji finału Mistrzostw Świata Par z Leszna. Para polska przegrała tam sromotnie ze wszystkimi. Oczywiście nikt o zdrowych zmysłach nie liczył na zdobycie medalu przez naszych zawodników, ale można było się spodziewać, iż przynajmniej powalczą. Nic z tego. Mimo nowych silników Godden (najlepsze, używane przez światową czołówkę), przygotowanych przez duńskich mechaników (od kilku lat Duńczycy wygrywają właściwie wszystko, co jest do wygrania), polscy zawodnicy ośmieszali się. Porażkę swą próbowali tłumaczyć słabym sprzętem (sic!). Ani Roman Jankowski, ani Piotr Świśt nie powiedzieli słowa o tym, co było dostrzeżone na torze: o niskich umiejętnościach technicznych i braku woli walki.

Polskim żużlowcom pozostała tylko jedna zaleta — gościnność. Gościnność, która spowodowała, iż wszystkie lokaty wyższe od ostatniej pozostawili dla gości.

Fless